

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



S
(27a) 2001

O przesiedlaniach historia nieznaną ♦ Wspomnienia o Czechach na Wołyniu i o księdzu Jakubie z Krzemieńca ♦ Sześćdziesiąta rocznica zbrodni niemieckich we Lwowie i Stanisławowie ♦ Janusz Majewski wspomina czasy II wojny ♦ Rozmowa z konserwatorem Januszem Smazą ♦ Felieton B. Czalczyńskiej ♦ Wiersze biskupa Bandurskiego ♦ Nowe książki ♦ Wydarzenia

PRZEPRASZAMY, ŻE ŻYJEMY

Nasi przodkowie usadowili się w miejscu zaiste szczególnym: przez wieki przetaczały się tędy wojenne nawały, niszczące wszystko co na drodze (oby to już była historia!). Mało tego: nasze państwo wraz z narodem przesuwano się to w lewo, to w prawo. Od samego początku próbowaliśmy się bronić, ale cokolwiek byśmy uczynili na drodze militarnej czy politycznej – wytykają nam przez całe wieki. Aż sami w te nasze historyczne grzechy uwierzyliśmy. W krew weszło nam tedy przeproszenie, w którym, zwłaszcza ostatnio, przebraliśmy miarę.

Niemcy okroili nas na zachodzie, zabierając ziemie nadodrzańskie (razem z tamtejszymi Piastami, którzy się zniemczyli), a jeszcze wcześniej Ruś Kijowska urwała nam wschodnie Grody Czerwieńskie (w 981 roku), otwierając drogę do napływu obcej ludności. Kiedy Kazimierz Wielki je odebrał (jego poprzednicy starali się o to parokrotnie) – także i po to, by chronić Polskę (i nie tylko) przed najazdami ze wschodu, które już wcześniej zdołały zniewolić Ruś – uznano to za podbój. Gdy na Ukrainie pojawił się Chmielnicki, który na kilka wieków unieszczęśliwił tamtą krainę oddając w objęcia Rosji, a oplakane tego skutki trwają do dzisiaj – jemu stawiają pomniki, nam zaś krwawe rzezie zgotowane w latach II wojny tłumaczą *krzywdami* doznanymi od nas w tamtych wiekach. Najbardziej żalosne jest to, że niektórzy nasi *mędracy* biorą to dziś na serio i jeszcze uczą tego nasze dzieci (*vide* podręczniki historii).

Takie *gry i zabawy* trwały do końca XVIII stulecia. Po XIX-wiecznej przerwie na zaborzy zwykli ludzie z miast i wsi musieli wspomóc młodą armię odradzającego się państwa, by odzyskać Wielkopolskę, Śląsk oraz wielowiekowy polski Lwów i Małopolskę Wschodnią, a wojskową siłą odebrać Wilno i Wileńszczyznę, gdzie Polacy byli w przytłaczającej większości (i jeszcze ją wokół Wilna stanowią w ponad pół wieku po wypędzeniu). Gdy zaanektowane przez bolszewicki imperializm Lwów i Wilno zostały przejęte po II wojnie przez ich byłe republiki – postradaliśmy narodową godność, uznając ten gwałt za coś naturalnego. Jakże inną postawę – w swoim własnym, dobrze pojętym interesie, – przyjęli Niemcy, od których w tej właśnie dziedzinie nie potrafimy się niczego nauczyć. Oni także przecież nie chcą zmieniać mapy Europy, ale do porządku dziennego nad tym, co ich – wszak jako skutek przegranej wojny – spotkało, nie przechodzą.

My za to rozumiemy, tłumaczymy się, przeproszamy. Świetnym przykładem Zaolzie, następnie przejęte przez Czechów po I wojnie, choć w większości zamieszkałe przez Polaków (nie mówiąc o kokietowaniu Łemków w 1919 roku – pisaliśmy o tym w CL S/99, s. 45–46). Jednak nie czyn Czechów, lecz Polski w 1938 roku zyskał nasze własne (!) potępienie.

Od wieków osiadali w Polsce Żydzi, znajdując tu – nadogodniejsze z całej Europy – warunki życia. W Polsce nie było pogromów, a w czasie II wojny Polacy chronili ich, na ile mogli, choć sami byli w śmiertelnie niebezpieczeństwie. Dowodem życzliwej postawy – najliczniejsze *polskie* drzewka w Yad Vashem. O latach komuny nie wspominajmy, minęło. I dziś oskarża się nas o antysemityzm, a my – za nieudowodnione, zresztą całkiem jednostkowe ekscesy – gorąco przeproszamy. No i trudno się dziwić, że w końcu wszyscy uwierzą w nasze rzekome winy.

A swoją drogą: czy ktoś w Polsce kiedykolwiek oczekiwał lub domagał się, by za ponad 100 lat zaborów i przerwania naszego naturalnego rozwoju, za ucisk narodowy, germanizację i rusyfikację – przeprosiły nas Niemcy, Rosja i Austria?

Na dzień zaduszny

Wieczny odpoczynek racz dać Panie Polakom, którzy zmarli lub zginęli na wschodnio-małopolskiej oraz wołyńskiej ziemi. Którzy spoczywają na cmentarzach i w bezimiennych grobach naszych stron rodzinnych.

Wieczny odpoczynek racz dać Panie Rodakom, którzy musieli opuścić swój dom, dobytek i rodzinną ziemię – wywiezieni, uwięzieni i zamordowani, wygnani. Którzy spoczęli na cmentarzach całej Polski oraz we wszystkich krajach i częściach świata – wolnych i zniewolonych.

Dopomóż nam, Boże, abyśmy o nich nie zapomnieli, a pamięć o nich i rodzinnej Ziemi przekazali naszym potomnym. Amen.

FELIETON

O NASZYM KOŃCU WOJNY

*T*ak się złożyło, że pięćdziesiątą rocznicę podpisania przez Niemcy hitlerowskie aktu kapitulacyjnego obchodziłam na wyspach brytyjskich. Słowo „obchodziłam” o tyle jest tutaj nie na miejscu, że tę rocznicę obchodziłam nie ja, lecz hucznie świętowali ją mieszkańcy Albionu. Było więc o tym dniu pełno i w prasie i w radiu, i w telewizji i we wspomnieniach otaczających mnie osób. A więc o tym, jak wszyscy londyńczycy wylegli na ulice, śmiali się i płakali na przemian. Obcy ludzie padali sobie w ramiona. We wszystkich oknach zapaliły się światła, w niebo wystrzeliły ognie sztuczne.

Shuchałam tego wszystkiego i nie jestem pewna, czy czułam żal, że nam w Polsce nie dane było przeżyć tej oszałamiającej radości, czy zażenowanie, że nie mogę podzielić radości otoczenia. Dzień ten pamiętam bardzo dobrze. Było to 8 maja. W Krakowie odbywała się pierwsza po wojnie procesja w dzień św. Stanisława. Zakończenie jej, jak zazwyczaj bywało, odbywało się na Rynku krakowskim – przed Bazyliką Mariacką. I właśnie w trakcie tego zakończenia ktoś wszedł w tłum z tablicą oznajmającą, że właśnie został podpisany akt kapitulacji. Tablica wraz z jej właścicielem wędrowała między zgromadzonymi na Rynku ludźmi, ale nie towarzyszyły jej żadne oznaki radości. Ludzie stali w milczeniu i w milczeniu się rozeszli.

My, przybysze ze Wschodu, dwa razy oglądaliśmy wejście Armii Czerwonej. Ten pierwszy raz to był dzień straszliwej klęski. Temu powtórnemu wejściu towarzyszyła jak promyk nadziei myśl: a może coś będzie inaczej? Ale rychło przekonaliśmy się, że nasze nadzieje były zwiadowcze. Od stycznia 1945 do maja tegoż roku wyłapywano tak zwanych „wrogów ludu”, którzy byli dla nas bohaterami walczącymi o wolność. Pojawił się jakiś przez nikogo nie wybierany rząd, a ci, na których czekaliśmy przez ciągnące się w nieskończoność lata wojny, nie mogli wrócić do ojczyzny. Podstępnie ruszyła propaganda zohydza- jąca to wszystko, co było nam drogie.

Jak mogłam wyjaśnić pełnym radości Brytyjczykom, że w dniu ich szczęścia my w Polsce przeszliśmy przez bramę, na której napis głosił: „Porzućcie wszelką nadzieję...”

Barbara Czałczyńska

Polska to taki obwarzanek – jej wszystko po brzegach.

Józef Piłsudski

1931: w rocznicę Nocy Listopadowej

2001: w siedemdziesiąt lat później – potwierdzamy

KRÓLOWA POLSKI



W tle: Cudowny Obraz Matki Bożej Łaskawej z Archikatedry lwowskiej obrz. łac. po koronacji przez Ojca św. Jana Pawła II w dn. 26 czerwca 2001 r. Obraz namalowany przez Józefa Szolc-Wolfowicza we Lwowie w 1598 r.

Leon Łyszczarczyk

Dziennik obrońcy Lwowa

Był rok 1989, kiedy red. Mariusz Sūs pożyczył mi dziennik pisany podczas obrony Lwowa przez Leona Łyszczarczyka. Niewiele umiał o jego autorze powiedzieć. Mnie również nie udało się – mimo poszukiwań – niczego więcej dowiedzieć. Jakkolwiek jest to dokument obrazujący to, co działo się we Lwowie w ciągu 21 listopadowych dni roku 1918. Pierwszy raz udało się też na łamach „Studenta” pisać o Obronie Lwowa (nr 21/12, 1989 r.). Myślę, że Czytelnicy *Cracovia Leopoldis* chętnie oddadzą się lekturze żywej relacji młodego człowieka, który w przyspieszonym tempie – wśród huku salw karabinowych, widoku umierających koleżanek i kolegów – poznawał atrybuty dorosłości. Zachowana została pisownia dziennika.

Janusz M. Paluch

Lwów dn. 1 XI 18

Dziś przyjechałem do Lwowa z Rudek. Wyjechałem z Rudek o g. 8^{mej} rano. Mieliśmy być we Lwowie o g. 10^{tej}. Tymczasem w Stawczanach przy krzyżowaniu dwóch pociągów chodzą niejasne słuchy o jakiejś rewolucji we Lwowie.

Początkowo śmialiśmy się wszyscy z tego, ale w Skniłowie dowiadujemy się, że we Lwowie toczą bój Rusini z polskimi Legionistami. Wyjechaliśmy ze Skniłowa, ale wkrótce pociąg stanął, bo maszynista nie miał żadnych wskazówek do dalszej jazdy z dworca głównego.

Nie chcąc darmo czekać, nie wiedząc jak długo, ruszyłem z innymi pieszo do Lwowa. Tuż przed roгатką słyhać zupełnie dobrze palbę karabinów ręcznych i maszynowych. Widzimy ludzi, którzy korzystając z zamieszania niosą skradzione artykuły z magazynów i sklepów, np. chleb, wędliny, ubrania, buciki i inne.

Gdy przyszedłem do domu razem z P.P. Tursównemi. dowiedziałem się, że obok w szkole Sienkiewicza wytworzyła się polska bojówka.

Po odprowadzeniu Panien do domu na Potockiego poszedłem zobaczyć, co słyhać w mieście. Oto całe miasto, to znaczy wszystkie budynki rządowe, są obsadzone przez „ukraińskich” żołnierzy. Na murach miasta są porozlepiane plakaty tylko w języku ruskim. Brzmiały one:

„Do mieszkańców miasta Lwowa!

Wolań narodu ukraińskiego utworzyła się na ziemiach ukraińskich byłej austro-węgierskiej monarchii Ukraińskie Mocarstwo. Naj-

wyższą władzę Ukraińskiego Mocarstwa stanowi Ukraińska Narodowa Rada. Z dniem dzisiejszym U.N.R. objęła władzę w stołecznym mieście Lwowie obierając go za siedzibę Rządu Ukraińskiego.”

[W oryginale tekst w języku ukraińskim: „Do naselenija miasta Lwowa! Woleju ukraińskowo narodu utworiła sa na ukraińskich zemlach bywsoj awstro-ukorskoj monarchii Ukraińska Derżawa. Najwysszoju derżawoju własťju U.D. est Ukraińska Nacjonalna Rada. Z niniczym dniem U.N.R. obnała wlast w stolicznym misti Lwowi i na misti Ukraińskoj Dierżawy” – przyp. J.M.P.]

Dowiedziałem się prócz tego wielu ciekawych szczegółów. Oto tzw. „Ukraińcy” zajęli miasto z pomocą Austriaków. Polacy tym zaskoczeni nie mogli się porozumieć, co czynić.

Nareszcie kilku śmielszych chłopców zebrało się w szkole Sienkiewicza. Razem było ich 30 (trzydziestu). Oto cała obrona zagrożonego Lwowa. Karabinów było pięć, z tego dwa zdolne do użytku. Przyszedłem z powrotem do domu. Bolek dzisiaj słaby, inaczej byłby w szeregach tych trzydziestu. Ja nie chcąc pozostawać w tyle za nim, mam ochotę się także zaciągnąć.

g. III pop. Tego samego dnia.

Nie mogę się oswoić z tym że jestem żołnierzem i to do tego **polskim**. Zgłosiłem się nawet bez wiedzy rodziców. Bolek patrzy się na mnie z radością, ale i z tajoną obawą. Nie jestem „poborowy” ale ten wzrok tkwi mi w pamięci. Wstąpiłem do domu, aby się pożegnać, bo nie wiem, co mnie może spotkać.

g. V pop. T.s.dz. w koszarach

Przeszedłem próbę ataku nieprzyjaciela. Oto Rusini dowiedszy [dowiedziawszy] się o nas, że tworzymy oddział przeciw nim, starali się nas wypędzić ze szkoły Sienkiewicza. Nie poszło im to tak łatwo, bo jak szybko autem z karabinem maszynowym zajechali pod szkołę, tem szybciej „wyrwali”. Co to znaczy czterdziestu morowców. Liczba karabinów wzrosła do stu, ale ludzi mało. Zdobyliśmy obok dworca kilka koni i dwie krowy. Będzie menaż. Przechodziłem „chrzest ogniowy” na ul. Polnej, gdzie spotkaliśmy patrol Ukraińców. Po oddaniu salwy Ukraińcy znikli jak kamfora. Prawdziwi tchórze.

D. 2.I.18.

Wiwat! Zdobyliśmy całe auto wiozące karabiny razem z obsługą. Biedni ruscy szoferzy, gdy tylko ujrzeli karabiny „czortów”, jak nas nazywają, zaraz bez wystrzału się poddali. Ukraińców żołnierzy jest około 14 000, a ich kmdt. Dmytro Witkowskij. Nas jest około 100. Ładna proporcja! Co? Kmdtem naszym jest major Tatar Trześniowski. Ogólnym kmdt. sił polskich jest kap. Mączyński. Strasznie opustoszało miasto. Ludzie boją się wychodzić z domów, bo na ulicy czyha śmierć.

Mieliśmy wypad z sier. Nawim [nazwisko nieczytelnie napisane – przyp. JMP] na ... depo [niezrozumiałe słowo – przyp. JMP] wojskowe, gdzie zdobyliśmy 17 karabinów, 6 rewolwerów i paczkę amunicji.

Zawarła nasza Kmda z kmdą ruską 3^{1/2}-godzinny rozejm. Mimo rozejmu powstała na nowo walka i ciągle mamy wypadu. Padło dwóch naszych żołnierzy.

Dn. 3/XI Niedziela

Liczba ochotników wzrasta! Masa ich przybyło z miasta. Dostali się kanałami, bo bali się kul. Wczoraj nie spałem całą noc, nie było czasu, bo chcieliśmy wypędzić Rusinów z dworca kolejowego. Rezultatem było zajęcie samego dworca, dopiero dziś rano około g. IX^{tej}. Zdobyliśmy 3 karabiny maszynowe. Prócz tego dwa auta osobowe. Zdobyliśmy cały magazyn broni. Będzie czym bić – bratów.

Wieczór.

Odparliśmy atak Rusinów na dworzec. Szczęście, że tak łatwo poszło. Zawdzięczamy po części to wódzi, która nas rozgrzewała. Zapowiada się ciepła noc, to znaczy ze strony ukraińskiej atak. Oho, zdaje się zaczynają.

Rano 4.XI.18.

Noc cała zeszała na walce. Myślałem, że to ostatnia moja noc. Ale nie było tak źle, bo dworzec trzymamy. Idę na spoczynek do szkoły na jakie 2 godziny.

I. pop.

Byłem na Isakowicza jako łącznik, aby dowiedzieć się co z naszymi, bo nie ma wiadomości z domu techników. Było nas dwóch. Drugiego wysłałem, a sam zostałem na Isakowicza. Zdobyliśmy ul. Na Bajki.

Byłem jako patrol i pomoc z maszynką w szkole kadeckiej. Rusini na nasz widok zmykali z lasku koło szkoły. Karabin przynieśliśmy.

Dn. 5/XI 18.

Dziś znów nie spałem całą noc. Chodziłiśmy z sierż. Bratkovskim zdobywać koszary na Janowskiem. Nas czterech zdobyło całe koszary, razem z bronią i załogą. Hasło było: Bagnet. Karabin – odzew.

Zdobyliśmy cerkiew Jura. Klerycy ruscy nawet do nas strzelali. Na ulicy Jozefata piliśmy u jakiejś pocziwej kobiety herbatę z chlebem, która nam ducha dodała.

Ogród Jezuicki nasz. Drzewo, za którym stałem, ma w sobie 8 kul. Wulka nasza, koszary też. Jeńców mamy 200.

Dn. 8/XI 18.

Dziś piszę, bo czasu nie miałem. Góra Stracenia nasza. Nosilem tam amunicję. Trzech ludzi ją broni.

Technika nasza. Dyrekcja Kolejowa też. Zdobyliśmy 12 armat. Skniłów nasz.

13/XI

Cytadela jeszcze nie zdobyta. Tam dopiero poznałem, co to jest ogień. Z naszej strony 1 Maszynka. Ze strony ruskiej 3. Maszynki i dziesiątki ręcznych karabinów. Atak się nie udał. Mamy sześciu zabitych. A dlaczego ja jeszcze żyję. Bolek też jest w szeregach. Poczta nasza! Pomału się ich wykurzy.

18/XI 18.

Czasu okropnie brak. Ale trzeba się z tym pogodzić. Dlaczego Kraków lub Warszawa pomocy nam nie przysyła? Dokąd będziemy się męczyć. Bo człowiek już z sił opada mimo ciągłych sukcesów. Janek Jakobsch jest tu też. Romek Rowiński, Kowalerski, Pelecki i inni. Dostaliśmy papierosy. Już umiem palić. Cześć, pałacy obywatelu.

Walka ciągle zacięta, ale Rusini się wszędzie cofają. Wypad na Skniłów wyśmie-

nity. Magazyn broni i amunicji. Armatki nawet zdobyliśmy.

19/XI

Mamy już swą nazwę. Szkoła Sienkiewicza to odcinek piąty. Czy będzie jaki rezultat naszych zmagañ? Wszyscy się na to pesymistycznie zapatrują. Rusini mają coraz więcej wojska. Zewsząd jesteśmy osaczeni. Zdaje się, że wkrótce będziemy mieć atak. Dziś postrzeliliśmy koło cytadeli jego mością, który druty telefoniczne przecinał.

20/XI

Zawieszenie broni jest na 24 g. Przedłożono aż do 6^{ej} rano 21^{ej} XI.

21/XI 5^a rano.

Atak poczynamy.

21.XI. popołudniu.

Lwów wolny. Przecież dokazaliśmy cudu. Pomogli nam Krakowiaczy, którzy jeszcze teraz żydków uczą „mówić po polsku”. Może teraz człek trochę odetchnie? Na Krakowskim się pali, ludzie rabują, mimo świstania kulek nad głowami.

22/XI. Rano

Ukraińców we Lwowie już nie ma. Na ratuszu chorągiewka biało-czerwona. Żołnierze sami polscy.

Nareszcie nadeszła ta chwila.

Naszym zdaniem

PRZEMĄDRZALI

Przemądrzalców mamy w koło na pięćki. Ale najlepsi to ci, którzy usadowili się z dala od Kraju, o problemach, jakie przeżywamy, mają pojęcie mętne, nie rozumieją trudności, na jakie napotykamy, ani barier, które krępują nasze ruchy. Co gorsza, ich gromkie głosy bywają – jeśli to wygodne – wysłuchiwane i nagłaśniane przez miejscowych spryciarzy. Cele takich praktyk nie zawsze są od razu czytelne, z czasem jednak wyłażą na wierzch fatalne skutki nieodpowiedzialnych podszczuwań.

Mieliśmy do niedawna świetlaną postać, uwielbianą przez niespełna czteroprocentową (i już na szczęście nieaktualną) *siłę przewodnią*, która to postać zdalaczyńnie przez lat kilkadziesiąt próbowała organizować życie naszego Narodu, a ostatnio Państwa, i która nieproszona przez nikogo (w każdym razie nie przez polski Naród) zawierała w imieniu Polski – abstrakcyjne co prawda – ale z moralnego, prawnego i historycznego punktu widzenia bezprawne i przedwczesne układy. Jeszcze nie wiemy, jak i kiedy może się to w przyszłości niekorzystnie odbić.

Bzdurę na proporcjonalnie mniejszą skalę zaserwowało nam polskojęzyczne pismo z Nowego Jorku (!), nie bardzo wiadomo kogo reprezentujące – kwartalnik pt. „Forum” nr 54 z 2001 r. Redaktorem i wydawcą jest niejaki Roman Wawrzonek vel Tadeusz Skaluba, który też prawie całe pismo, zdaje się, zapełnia własną pisaniną.

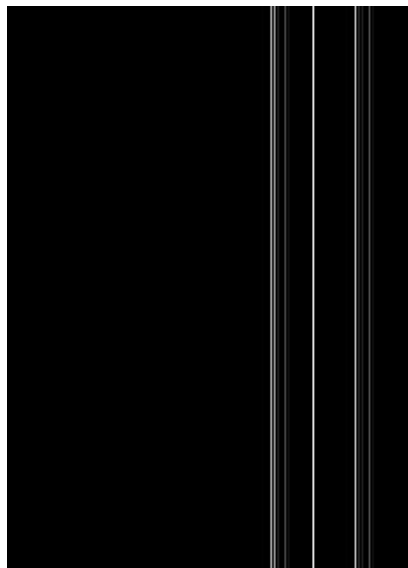
Cały numer jest poświęcony Katyniowi – nekropolii niedawno tam otwartej, jak pa-

miętamy, po długotrwałej batalii nie mniej dramatycznej niż ta o Cmentarz Orłąt we Lwowie. Na pierwszej stronie zamieszczono *Apel. Czy muszą tam pozostać?*, w którym Redakcja (tak jest podpisany, ale najpewniej, sądząc po stylu, napisany przez „samego głównego”) odsądza od czci i wiary Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i jej sekretarza generalnego Andrzeja Przewoźnika oraz inne osoby za to, że szczątków pomordowanych nie pochowano w Polsce, lecz zostawiono w Katyniu. W *Apelu* i innych artykułach tego numeru pisze się o nich *renegat, kłamca, łże jak pies, hańba narodu, łotrstwo* itp. itd. Teksty w tym „Forum” przypominają niewybredne i bezpodstawne napaści gadzinówek z czasów komuny, i to z jej pierwszego okresu, bo potem już dbano o tonowanie paszkwili. Teza autora jest taka, iż budując cmentarz w Katyniu, wypełniono wolę władz sowieckich, które nie życzyły sobie przeniesienia do Polski szczątków pomordowanych oficerów.

A jeżeli nawet takie były sowieckie zakazy, to co? Czy należało tysiące szczątków w Katyniu, Charkowie, Miednoje i innych miejscach kaźni nocami wykradać? I po co? Każdy znający przewrotną mentalność i styl rozmów z przedstawicielami Rosji (i nie tylko Rosji, podobnie Ukrainy i Białorusi) zdaje sobie sprawę, ile cierpliwości, taktu i kompromisów potrzeba, aby w ogóle coś wskórać. Jesteśmy przekonani, że Sekretarz Generalny ROPWiM uczynił wszystko, co mógł. Obserwujemy go od dawna.

Dodajmy, że kiedyś podobne pomysły przenoszenia sfyszeliśmy na temat Cmentarza Orłąt. Czy można sobie wyobrazić taki nonsens?

Karol Odrycki



SZLAKIEM II BRYGADY LEGIONÓW, 1914–1915



1. Przebudowany kościółek w Rafajłowej. Po prawej pomnik poległych legionistów.
2. Pomnik w Rafajłowej.
3. Pomnik legionistów w Zielonej.
4. Pomnik legionistów w Pasiecznej. Na pierwszym planie grupa wycieczkowa TMLiKPW z Krakowa.
5. Ks. Władysław Grzymski z Nadwórnej poświęca odtworzoną tablicę pamiątkową na pomniku w Pasiecznej.
6. Pomnik legionistów na starym cmentarzu w Nadwórnej.
7. Tablica na pomniku w Nadwórnej.
8. Pomnik legionistów w Mołotkowie.
9. Tak dochodzi się dziś do pomnika w Mołotkowie.
10. Potok Salatruk wpada do Bystrzycy Nadwórniańskiej w Rafajłowej.
11. Ruiny zamku w Pniowie pod Nadworną.

Rok 1939. Mieszkamy we Lwowie, w Nowych Zboiskach. Niemcy okrążyli Lwów, znad Pełtwi idą rowami polscy żołnierze z bagnetami na karabinach. Ojciec mówi: – *Idą na bagnety!* i rzeczywiście odrzucają Niemców aż za Brzuchowice. Po którejś nocy Ojciec mówi do Matki: – *Słyszałaś, w nocy byli Niemcy pod domem. Gdybym miał broń, zlikwidowałbym ich.* Matka: – *Nie mieszaj się do wojny.* Polacy znowu idą na bagnety. Ojca nie ma od dwu dni w domu. Pytamy się Matki z bratem: – *Mamo, gdzie jest Tato?* Matka się rozplakala i mówi płacząc: – *Nie będziecie mieli Taty, poszukał sobie kolegów i gonią po Zboiskach z karabinem maszynowym.* Cywile już bronią Lwowa, droga na Żółkiew odcięta, tam są Niemcy. Aż tu nagle tą drogą jadą czołgi głodnej armii. Paru polskich żołnierzy broniących mostu na Pełtwi podejmuje walkę, z karabinami idą na czołgi. Zostają wymordowani przez głodną armię. Krasnoarmiejcy wyciągają kostki dynamitu spod zaminowanego mostu, oglądamy to dzieło z chłopakami. Po dwóch tygodniach ojciec wraca. Zaczyna się zima, coraz większy głód, my z chłopakami śpiewamy Ruskim:

*Try tankisty nemały szo jisty –
Dawaj maszynu, budim pożyrat.*

Zaczynają się aresztowania, tj. nad ranem walenie kolbami do drzwi. – *Adiewaj-sia, bystrej, bystrej!* i tak ładują ludzi do świńskich wagonów, i na Sybir. Chodzimy z chłopcami niedoszłym sybirakom podawać papierosy na Zniesieniu, żołdacy nas przeganiają – *Utikajcie bacany, strelat budu* – i repetują karabiny, to uciekamy.

Nauczyłem się już milczeć, nikt się ode mnie nie dowie, że jestem synem legionisty i czekam już na swoją kolej. Wstaję do dnia

i szybko się ubieram, a ubierając się myślę – jak mam już pończochę włożoną – że jakby teraz po mnie przyszli, to już będzie mi ciepłej, a kiedy już jestem całkiem ubrany, to już jestem szczęśliwy. Jeszcze ciemno, wychodzę na szosę żółkiewską mleko kupić od chłopów. Towarzysze wmawiają nam, że nas wyzwolili z niewoli od panów. A tak naprawdę, to ja zawsze myślałem, że to Hitler wyzwolił nas od oswobodzicieli, bo inaczej to my wszyscy pojechalibyśmy *na białe niedźwiedzie.*

* * *

Ponowne oswobodzenie tym razem w Samborze. Pojechałem w ostatniej chwili do Sambora, do Ojca. Ojciec pracował tam przy naprawie mostków kolejowych, był dobrym murażem, a Niemcy fachowość i pracowitość cenili.

Idziemy pieszo do Lwowa. Ojciec nie da usiąść w rowie ani zejść z drogi, mówi, że tam mogą być miny. We Lwowie pojawiają się pierwsi żołnierze polscy. Jest pobór do polskiej armii. Mężczyźni idą na

ochotnika i z poboru. Ja namawiam Ojca, żeby poszedł do wojska na ochotnika, zemścić się za aresztowaną Matkę na Niemcach.

Ja zostaję sam we Lwowie, ma się mną opiekować były sąsiad. Ma mi być dobrze w młynie, od razu zaganiają mnie do roboty. Wstaję o świcie, a spać idę późną nocą, bo pędzę bimber. W dzień pasę krowy, świniom daję jeść, a tymczasem we Lwowie mówią, że zostaniemy przyłączeni do Rosji. Wszyscy czekamy na Poczdam, tym razem jesteśmy wyzwoleni z pół Polski, rozpacz we Lwowie. Ja tymczasem dostaję list od Ojca, znajoma też od męża – są w jed-

Leopold Kapuściński

POCZĄTEK WOJNY W ZBOISKACH

Dotarło do nas wspomnienie starszego dziś człowieka o korzeniach wschodniomałopolskich – stanisławowskich (rok urodzenia prawdopodobnie 1930), który początek wojny przeżył w podlwowskich Zboiskach. Tekst jest dość długi (9 stron gęstego maszynopisu) i barwny, ale tylko strona pierwsza dotyczy przeżyć lwowskich autora. Ten więc fragment przedstawiamy.

nej jednostce we Włodawie nad Bugiem. Znajomi mi mówią – dostałeś list, wiesz gdzie jest ojciec, to szybko wyrabiaj kartę emigracyjną i wyjeżdżaj do Ojca, bo jak Ruski zwęszą, że jesteś sam, to cię wywiozą w głąb Rosji. Szybko wyrobiłem kartę emigracyjną i pojechałem do Włodawy.

Przepraszam, nie Poczdam, a Jałtę ogłoszono. Naprzód trzeba było usunąć generała Sikorskiego, żeby można było lepiej sprzedać Polaków w jasyr sowiecki.

* * *

Nie odnalazłszy ojca we Włodawie, autor pozostaje w armii gen. Berlinga jako „syn pułku” (swemu wspomnieniu autor nadał tytuł „Jak zostałem synem pułku”). Uczy się w szkole samochodowej w koszarach i – o b s e r w u j e . Szczególną sympatią darzy generała Berlinga. Oto jeszcze jeden fragment:

Wybucho powstanie warszawskie, my o tym wiemy, ale z dowództwa nikt nas nie informuje. Gen. Berling daje rozkaz forsowania Wisły. Poszły nasze bataliony i sforsowały Wisłę bez większego oporu. Na godz. 12 w nocy Rusczy zwołują naradę wojenną. Pułkownicy radzą gen. Berlingowi, żeby nie szedł na tę naradę, a jak chce iść, to niech idzie w silnej obstawie wojska polskiego. Gen. Berling nie posłuchał tych rad i poszedł sam – i więcej nie wrócił.

Na rano jest nowo mianowany naczelny dowódca Wojska Polskiego gen. Rola-Żymierski. Wydaje rozkaz wycofania Wojska Polskiego zza Wisły. Nie wszyscy zdążyli się wycofać. W koszarach po ogłoszeniu o mianowaniu d-cy nie zapanowała radość, a żaloba wśród żołnierzy. Pozostawało tyl-

ko pytanie, co się stało z gen. Berlingiem (gdzie on jest)?

Tymczasem powstanie upadło, Warszawa została zrównana z ziemią na oczach sojuszników. Niemców nad Wisłą nie było, teraz zajmują pozycję i umacniają się. Po pewnym czasie krąży pogłoska po koszarach, że Rusczy powiedzieli – *No, Polaczki chatieli samy dobywat Warszawu, to dobywajty*. Poszli Polacy, krew popłynęła Wisłą – nie sforsowali. Rusczy mieli powiedzieć: – *No, Polaczki sami Warszawu ne możete dobyty, my wam pomożemy jak Wisła staniet*.

W koszarach upływa dzień jak co dzień, na temat Berlinga nie wolno mówić. Mimo braku kapelanów wojskowych przy capstrzyku modlimy się i śpiewamy rotę.

* * *

Po zakończeniu wojny Kapuściński pozostaje na kilka lat w wojsku jako plutonowy. Po wyjściu z wojska osiada w Krakowie, pracuje jako kelner, aż do emerytury. Oto zakończenie jego tekstu wspomnieniowego:

Ja dzisiaj, mając 64 lata [tekst nosi datę 1994] jestem szczęśliwy. Jestem

emeryturze, prowadzę własny interes i jeszcze pracuję na półtora etatu. Zadowolony jestem z siebie, że nigdy nie zgodziłem się na pozostanie w wojsku i na żadne szkoły wojenne. Bo z miłości do Związku Radzieckiego, bez zastanowienia się – gdybym miał taką okazję jak pułkownik Kukliński – mógłbym jeszcze gorzej zrobić: zdradziłbym komunię, a odpowiedziałbym za zdradę Ojczyzny. A tak jest mi dobrze i można powiedzieć, że bardzo dobrze. Powszechnie jestem szanowany, lubiany, nie mam żadnych wrogów, a samych przyjaciół. Tęsknię tylko do korzeni i przez to prawie co roku jeżdżę [...] na urlop [w rodzinne strony].



Stary kościółek w Zboiskach, rozebrany niedawno, w związku z budową nowego kościoła

Marta i Jacek Walczewscy

ZBRODNIA W CZARNYM LESIE

Stanisławów – miasto swoją historią i kulturą związane z Polską – wchodzi teraz w skład innego państwa. Polacy stanowią nieliczną mniejszość. Wiele się tu zmieniło. Nowe centrum miasta powstało na części cmentarza miejskiego, który po wyrównaniu s p y c h a c z a m i zamieniono na park.

Nie jest to jedyny tragiczny cmentarz w Stanisławowie. W odległości kilku kilometrów od miasta, koło Pawełcza, znajduje się Czarny Las, kryjący w sobie szczątki setek pomordowanych Polaków. Sześćdziesiąt lat temu, w sierpniu 1941 r., odbyła się tu kaźń stanisławowskiej inteligencji – nauczycieli, prawników, inżynierów, lekarzy. Odbywały się również egzekucje osób przetrzymywanych w więzieniu stanisławowskim. Dokonał tego Niemcy, którzy, podobnie jak we Lwowie, dostali od współpracujących z nimi Ukraińców listy osób, stanowiących elitę intelektualną miasta. Egzekucje

przeprowadzano w tajemnicy, wykopane wcześniej doły zasypano ziemią i przez kilka dziesiątków lat zarastał je las. Czarny Las.

W tych zbiorowych grobach ziemia się zapadła, powstały zagłębienia, w których zbierała się woda, bo teren podmokły. Straszna tajemnica się wydała. Znaleźli się świadkowie, którzy przez lata milczeli w obawie przed czerwonym terrorem.

Dawni, przedwojenni mieszkańcy Stanisławowa, których rodzice, nauczyciele, przyjaciele spoczęli w tym lesie, zrzeszeni w krakowskim Kole Stanisławowian przy Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów PW, oraz Polacy mieszkający obecnie w Stani-

stawowie podjęli starania, by uporządkować teren. W 1991 r. postawiono symboliczny pomnik z tablicą informacyjną o miejscu egzekucji Polaków. Zrobiono drogę, doły-mogiły ogrodzono brzoźowymi żerdziami i umieszczono przy nich krzyże.

Ambicje i zamierzenia stanisławowian, potomków poległych, były dużo większe. W sierpniu 2001 r. przypadła 60. rocznica mordu w Czarnym Lesie. Z tej okazji odbył się zjazd-pielgrzymka rozproszonych po całym świecie stanisławowskich wygnańców w ich rodzinnym mieście. Organizatorem uroczystości była grupa krakowska, a patronat nad zjazdem objęła Pani Marszałek

Senatu Alicja Grześkowiak. Punktem kulminacyjnym była koncelebrowana msza św. pod symbolicznym pomnikiem w Czarnym Lesie, odprawiona przez kilkunastu księży dwóch obrządków, rzymsko- i greckokatolickiego.

Obecny był przedstawiciel polskiego rządu, minister Andrzej

Przewoźnik, sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, który poprzez udzieloną dotację umożliwił kontynuację prac w Czarnym Lesie. Piękne, patriotyczne przemówienia wygłosili A. Przewoźnik i przewodnicząca Koła Stanisławowian z Krakowa – Krystyna Stafińska. Byli również przedstawiciele miejscowej administracji, reprezentowanej przez mera miasta Z. Szkutjaka i jego zastępcę, Hannę Karaś, która wygłosiła przemówienie w języku ukraińskim. Przybyli również pracownicy Konsulatu RP ze Lwowa i członkowie polskiego Towarzystwa „Przyjaźń” w Stanisławowie, z jego przewodniczącą Lucyną



Uporządkowane miejsca pochówku zamordowanych Polaków w Czarnym Lesie

Kubicką. Z Anglii przyjechała 20-osobowa grupa z tamtejszego Klubu Stanisławowian, z przewodniczącą Janiną Jasińską, a także osoby z różnych miast Polski (Warszawy, Wrocławia, Opola) i innych krajów Europy.

Podziw wzbudziła sprawność organizacyjna Koła Stanisławowian przy krakowskim oddziale TMLiKPW. Na szczególne uznanie zasłużył wkład pracy członków zarządu Koła, w pierwszym rzędzie pani prezes Krystyny Stafińskiej, która potrafiła nawiązać trwałe więzy przyjaźni i współpracy między krakowskimi stanisławowianami a pozostałymi w Stanisławowie Polakami. Dzięki

temu udało się wykonać wiele ciężkich prac przy dołach śmierci. Trzeba było karczować drzewa, zbudować utwardzoną drogę, ustawić krzyże i ogrodzenia wokół mogił. Prace nie zostały jeszcze ukończone, ale dzięki otrzymanej od ROPWiM dotacji są kontynuowane.

Oprócz centralnej uroczystości w Czarnym Lesie jej uczestnicy złożyli kwiaty i wieńce pod pomnikiem z krzyżem na dawnym cmentarzu stanisławowskim oraz wzięli udział w sesji referatowej, która odbyła się w Domu Parafialnym przy kościele Chrystusa Króla „na Górcie” w Stanisławowie.

Przemówienia wygłoszone w czasie uroczystości w Czarnym Lesie

Andrzej Przewoźnik

Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Warszawa

Dokładnie 60 lat temu, miesiąc wcześniej przed tym, co tutaj się działo, zamordowano profesorów polskich we Lwowie. Wzgórza Wuleckie na zawsze pozostały symbolem martyrologii polskiej inteligencji we Lwowie. Miesiąc później, tu w Stanisławowie wymordowano polskich inteligentów, nauczycieli, lekarzy, prawników – ludzi, którzy tworzyli kwiat inteligencji polskiej. To miejsce dla stanisławowian na stałe wpisze się w dzieje tego miasta, ale tak jak Czarny Las pod Stanisławowem, tak i Palmiry pod Warszawą, Konary pod Wilnem zostaną na zawsze symbolem martyrologii Polaków w czasie II wojny światowej. Symbolami bardzo ważnymi, bo przez wiele lat nie można było mówić o tych wydarzeniach otwarcie, nie można było tych spraw dokumentować. Dlatego też chciałbym w tym miejscu tym wszystkim, którzy biorą dzisiaj udział w uroczystości, którzy przez lata przechowywali pamięć o swoich bliskich, podziękować za to, że mimo różnych wysiłków wymazania tych wydarzeń z kart polskich dziejów przez władze komunistyczne zachowali pamięć o ofierze ludzi spoczywających w tym lesie. Chciałbym podziękować również władzom ukraińskim, które życzliwie do upamiętnienia tego miejsca podeszły; Polakom, którzy tu mieszkają, którzy o tym miejscu pamiętają, o te miejsca się troszczą. Sądzę, że możemy dzisiaj powiedzieć,

Krystyna Stafińska

Przewodnicząca Koła Stanisławowian przy TMLiKPW w Krakowie i główna organizatorka uroczystości rocznicowej

*... et exultabunt ossa humiliata.
(... i rozradują się poniżone kości)*
Psaln 51:10

Zgromadziliśmy się tu, w tym miejscu naznaczonym krwią niewinnych ofiar, w 60. rocznicę mordu na inteligencji polskiej, synach i obywatelach tego miasta, tej Ziemi, aby dać świadectwo naszej pamięci, naszego hołdu i solidarności z ich okrutnym losem.

Oderwano ich od rodzin, domów, pracy; poniżono i stracono tylko dlatego, że byli Polakami, inteligentami, w większości pedagogami i wychowawcami młodych pokoleń. W haniebnym zamyśle morderców miał to być cios wymierzony w ducha narodu, w wartości najwyższe, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Zbrodniarze niemieccy i ich pomocnicy mieli poczucie bezkarności, utwierdzając triumf zła i pogardy dla człowieka. Rok 1941 to był czas, gdy starty się dwa totalitaryzmy, a dla Polaków, jakby nie dość było Sybiru i Kazachstanu, łagrów i bezprawia bolszewickiego, nadszedł terror faszystowski, a wraz z nim okrucieństwo jawne i mordy skrytobójcze. Po wojnie znów terror czerwonon, masowy exodus, opuszczenie domów i ukochaną Ziemi. Wydawało się, że nikt nie upomni się o ofiary, że trawą i lasem zarosną miejsca masowych straceń.

iż mimo wysiłków tych, którzy próbowali zatrzeć prawdę o tamtych wydarzeniach, ta prawda się przebiła i tkwi mocno w naszej pamięci. Ja wiem, że zwłaszcza młode pokolenie Polaków bardzo mało wie o tym, co się tutaj stało, ale gdybyśmy zapytali w Polsce wielu ludzi tworzących dzisiaj naszą inteligencję, to też pewnie by nie wiedzieli co to Czarny Las. Sądzę, że takie uroczystości jak ta dzisiejsza to jest przypomnienie tamtych wydarzeń, tamtych ludzi, przypomnienie i zapisanie na mapie polskiej martyrologii tego miejsca. Dziękując Państwu w imieniu rządu, chcę powiedzieć, że ten wysiłek nie poszedł na marne. Sądzę, że możemy dzisiaj tym, którzy tutaj spoczywają, którzy w tak dramatycznych okolicznościach ponieśli śmierć, powiedzieć, że Polska o nich nie zapomniała. Polska o nich pamięta.

Maria Konopnicka

W kamieniu polnym

W kamieniu polnym, co grób mój pokryje
Niech mi kamieniarz lireczkę wyryje,
Lirę tę swojską, a własną, a ona,
Którą to po wsiach za dawna noszono,
Iżby szła z brzękiem skowrończym wśród
kmiaci,

Aż w echo rzuci płacz swój, a odleci.
A pod tą lirą, jeżeli mi wola,
Niech żytnie kłosa z naszego da pola,
Kłosa ubogie, z chudemi, ot, ziarny,
Na chleb powszedni, ościsty, a czarny
Po którym człowiek do ziemi przyrasta
I ciągnie pług swój prastary od Piasta.
A potem, chce-li, niech kamień obtoczy
Polnym powojem, co modre ma oczy,
A niechaj na nim napisów nie kładzie
I niech go w rzędzie nie stawia, ni w ładzie,
Tylko w zakątku, gdzie brzoza szum
niesie...

– A może w lesie? – To owszem, niech
w lesie!

Ten wiersz przepisał, jeszcze przed wybuchem wojny, młody nauczyciel ze Lwowa, którego kości spoczywają w Czarnym Lesie. Czyżby przeczucie?

Tak się jednak nie stało. Czasy – Bogu dzięki – zmieniły się, upadły oba straszne totalitaryzmy. O krzywdzie wyrządzonej Polakom – tu w Czarnym Lesie, a także na *nieludzkiej ziemi*, w łagrach, obozach koncentracyjnych, zabitych na wojennym szlaku, możemy mówić w świetle dnia, pełnym głosem. My dzieci i uczniowie, krewni i przyjaciele pomordowanych przyjeżdżamy tu od dziesięciu lat, aby uczcić *poniżone kości* naszych bliskich, aby naszą obecnością powiedzieć: p a m i ę t a m y !

Chcemy, by w świadomości Polaków, ale również i wszystkich mieszkańców tej Ziemi suchy język historycznych faktów mordowania niewinnych przełożony został na odczucie jednostkowego bólu, krzyku i cierpienia, które były ich udziałem. Chcemy wołać: n i g d y w i ę c e j ! Nigdy więcej strasznej pogardy dla człowieka!

Pielgrzymka Papieża-Polaka na tę Ziemię zaświadcza o triumfie dobra nad złem, o potrzebie rachunku sumienia i życia w prawdzie: pamiętamy, *ale zło trzeba w d o b r o przemienić*.

Dlatego modląc się do Boga pełnego miłosierdzia w intencji wszystkich niewinnych ofiar Czarnego Lasu i obu totalitaryzmów, prosimy o światłość wiekiustą dla nich i pokój dla nas wszystkich.

Jerzy Wasidłow (Stanisławów)

W Czarnym Lesie

Niezapomniane
imiona wasze,
Daty, szczegóły życiorysów,
Zapomniałem.

Lecz słyszę,
Smutne wyszukując w trawie
Ślady dołów,
Wyraźnie słyszę
Trzask przeraźliwy strzałów,
Odbierających życie,
I bezwinnych, którym życie odbierano
Rozpaczliwe krzyki.

Okrutne dokonano tu morderstwo.
Pamiętaj,
to nie może się powtórzyć
Już nigdy więcej.

Warszawa, dnia 15 sierpnia 2007 roku

MAREK LARIE KINATU
KIECZYPOPOLSKI POLSKIEJ
Prof. dr hab. Alja Guizard

Do Uczestników i uczestniczek uroczystości 88. rocznicy mordu
w Czarnym Lesie

Szanowni Państwo!

Żydzienie dotykało nie sprawa nie uczestników uroczystości 88. rocznicy mordu na męczenników polskiej w Czarnym Lesie pod Stanisławowem. Wierzy wcielony profeta zobowiązania serwowaliśmy w sercu i w duchu.

Podczas długiej pracy historycznej Narodowej Polityki dotychczas wiele straszy i przesłania. W jej następstwie straszy w Czarnym Lesie sprawa morderstwa i przesłania. Długo, gdy od straszenia do 1945 roku sprawa nie była znana, a chcielibyśmy, jako powołanie go strasze najbliższych – strasze, matka, bracia i siostry – zawsze się nie zapomniał – przetrwał czas, by – tak jak Chyryta, książka na Krasie – wylotem sprawa. Tytuł Polaków – dano i napisali uroczystości w Czarnym Lesie mogą być uroczyste. Tytuł Polaków może do tego momentu przetrwać.

Dotyczy wycieczki, której praca była nie męczenników i jej nie straszy strasze. Długo, gdy, który morderca i morderca i uroczystości w Ofiar. Morderca i powołanie i jej praca i jej praca, co może uroczyste i jej praca i jej praca.

Z wyrazami szacunku,

Alja Guizard

Prof. Alja Guizard
ul. ...
00-000 Warszawa

Warszawa, dnia 20 VII 2007

W. Pasi
Brama Młodska
Pracownia Edukacji Społecznej
Oficjalnie w Krakowie
Towarzystwo Miłośników Literatury
i Krasie Polaków-Warchołach
ul. ... 01-113 Warszawa

Szanowni Państwo,

Nawiązując do dotychczasowej sprawa nie uczestników i jej praca nie morderca na morderca polskiej w Czarnym Lesie oraz do przesłania na morderca Główna uroczystości i jej praca w Stanisławowie i praca i jej praca i jej praca i jej praca.

Wierzy wcielony profeta zobowiązania serwowaliśmy w sercu i w duchu.

Alja Guizard

MODLITWA WIERNYCH podczas mszy św. w Czarnym Lesie w dniu 11 sierpnia

Chryste, oto stoimy pod Krzyżem, znakiem Twej Męki – w Czarnym Lesie, miejscu męki naszych rodzin. Przyjmij ofiary tych, których kości tu spoczywają, i daj im zadośćuczynienie w Niebie.

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie!

Panie nasz, dziś spotkali się w tym miejscu każdy stanisławowianin, mieszkający tu i rozrzucony po świecie. Daj nam Łaskę trwania i budowania przyszłości na przebaczeniu.

Ciebie prosimy...

Boże Miłosierny, prosimy Cię dla naszych rodziców, krewnych i przyjaciół tu spoczywających o nagrodę w Niebie za ich tragiczną śmierć.

Ciebie prosimy...

Boże Łaskawy! Twoją Matkę – Maryję z kościoła ormiańskiego – spotkał taki sam los, jak licznych Polaków ze Stanisławowa:

wygnanie i tułaczka. O ich pocieszenie i wsparcie –

Ciebie prosimy...

Boże, dziękujemy Ci za Łaskę nawiedzenia naszej Ziemi Ojczystej przez Papieża-Polaka. Spraw, prosimy, aby Jego przesłanie miłości i solidarności znalazło odzewek we wszystkich sercach.

Ciebie prosimy...

Panie, który wyniosłeś do Chwały Ołtarzy Twoje Sługi – arcybiskupa lwowskiego Bilczewskiego, księdza ubogich Goradzowskiego, biskupa stanisławowskiego Chomyszyna oraz rzeszę Męczenników za Wiarę – pomóż nam naśladować ich cnoty i wierność w wierze.

Ciebie prosimy...

Chryste, który powierzyłeś nasz Naród i Kraj Swojej Matce i pozwoliłeś nazwać Naszą Królową tę, która miażdży głowę węża – pozwól nam zwyciężyć diabelską pokusę nienawiści i budować nowy świat miłości i solidarności wszystkich ludzi.

Ciebie prosimy...

Krzemieńiec, lipiec 1941

Danuta Trylska-Siekańska

ZBRODNIA POD GÓRĄ KRZYŻOWĄ

W ostatnich dniach lipca 1941 r. miała miejsce kolejna tragedia wojenna – w Krzemieńcu. W kilka tygodni po wkroczeniu Niemców na terenie miasta, na stokach Góry Krzyżowej, rozstrzelano około 2,5 tysiąca mieszkańców Krzemieńca i okolic, w tym wiele osób tamtejszej inteligencji, z kadrą profesorską Liceum Krzemienieckiego na czele.

W sześćdziesiątą rocznicę tej zbrodni odbyły się w Krzemieńcu uroczystości, w których uczestniczyli mieszkańcy miasta i jego władze oraz członkowie pielgrzymek przybyli z terenu RP – w tym duża grupa krzemieńczan, mieszkających dziś w różnych stronach Polski – a zorganizowanych przez Polskie Towarzystwo Miłośników Krzemieńca i Ziemi Krzemienieckiej im. J. Słowackiego z siedzibą w Poznaniu.

Pierwsza część uroczystości o charakterze ekumenicznym odbyła się na miejscu zbrodni pod Górą Krzyżową. Wzięło w niej udział duchowieństwo katolickie (polskie) i prawosławne (ukraińskie), chór cerkiewny, konsul RP ze Lwowa, pielgrzymi spoza dzisiejszej granicy i wielu mieszkańców. Druga część uroczystości dotyczyła tylko Polaków – miejscowej społeczności i przyjezdnych. W kościele parafialnym pw. św. Stanisława BiM odprawiona została przez ks. Tadeusza Mieszka msza św. za zamordowanych, śpiewał chór kościelny. Następnie procesją udano się na Cmentarz Katolicki położony pod górą Wołowicą, na którym – przy grobie-pomniku – odprawiono dalszy ciąg nabożeństwa.

W uroczystościach brały udział dzieci i inni krewni ofiar. Z przyjezdnych: Sławomir Mączak, syn Franciszka, Eliza Wójtowicz, córka Gustawa Wawrzyszczaka, a z miejscowych Jarosław Pawłowski, syn Stanisława.

Trzeba zaznaczyć, że tego typu oficjalna uroczystość rocznicowa odbyła się w Krzemieńcu pierwszy raz po 60 latach od zbrodni.

Przedwojenny Wołyń był wielonarodowościowy. Zamieszkiwało go – wg encyklopedii z 1939 r. – 2 084 790 ludności. Najliczniejszą grupę stanowili Ukraińcy wyznania prawosławnego – 68%. Drugą co do liczebności i najbardziej dynamiczną była ludność polska – 17%, trzecią żydowska, przeważnie miejska – 10%. Czwartą grupę stanowili Niemcy, zamieszkali głównie na wsi – 2%, piątą Czesi, również na wsi – niespełna 2%. Inne narodowości – Rosjanie, Białorusini, Litwini, Karaimowie – około półtora procent.

Tak więc ludność województwa wołyńskiego II Rzeczypospolitej stanowiła prawdziwy konglomerat wyznań i narodowości, a co należy pokreślić – żyła w przykładowej zgodzie, bez konfliktów narodowościowych, które zrodziły się dopiero pod koniec 1939 roku, a szczególnie ostrą postać przybrały podczas okupacji niemieckiej, w latach 1941–44, nazywanej nie bez uzasadnienia *hitlerowsko-ounowską*.

Różnie potoczyły się losy wołyńskich narodowości, najczęściej były one dramatyczne, a nawet niewyobrażalnie tragiczne. Ludność niemiecka – na podstawie umowy z 28 listopada 1939 r. między ZSRR i Niemcami – została prawie w całości przemieszczona w styczniu 1940 r. do Generalnego Gubernatorstwa. Jej majątek przejęli Ukraińcy. Ich łupem stał się również majątek po deportowanych na wschód Polaków w latach 1940–41, ludności polskiej, eksterminowanej przez OUN-UPA w latach 1943–45, i po ekspatriowanej do Polski w następnych latach. Podobnie majątek po Czechach, którzy w 1947 r. wyemigrowali do swojej ojczyzny, dostał się w ręce Ukraińców.

Czesi zaczęli przybywać na Wołyń, głównie do powiatów łuckiego i dubieńskiego, od 1868 r., nabywając parcelowaną ziemię wielkiej własności, której nie mogli nabywać Polacy z powodu zakazu osiedlania się na Wołyniu. Jak informuje M. Orłowicz, *kolonialiści czescy, którzy przybyli przed rokiem 1881, pozostali katolikami; ci, którzy przybyli później, przyjęli prawosławie, gdyż wedle ukazu z r. 1881 ziemię na Wołyniu mogli nabywać tylko prawosławni i to nie Polacy.*

Feliks Budzisz

PRZYJACIELE Z WOŁYNIA

Czesi wołyńscy, podobnie jak i Niemcy, zajmowali się przede wszystkim uprawą ziemi. Jedynie w wypadku braku możliwości założenia nowego gospodarstwa przez młodych podejmowali naukę rzemiosła. Poziom zamożności ludności czeskiej był wyższy niż Niemców. Większa też była ich aktywność społeczna o zabarwieniu politycznym – głębokiej więzi z krajem ojczystym. Czesi byli wzorowymi rolnikami o wysokiej kulturze rolnej oraz wzorowej organizacji życia społecznego. Stali się na Wołyniu niedościgłym wzorem pracowitości i zamożności. Dzięki tym cennym zaletom cieszyli się autorytetem i sympatią u innych nacji, odwzajemniali się życzliwością i pomocą innym. Mówiono, że u Czecha to jak w banku – zawsze można było liczyć na pożyczkę, gdy się było w potrzebie.

Kolonie czeskie wyróżniały się dużymi, najczęściej murowanymi zabudowaniami, czystością i ładem gospodarczym. Otoczone były sadami i ukwieconymi ogródkami. We wsi była zazwyczaj gospoda, dom ludowy, szkoła czeska, a koło wsi piękne chmielarnie. W 1929 r. było na Wołyniu – jak podaje Orłowicz – 35 szkół z 35 nauczycielami Czechami, a nadto w trzech szkołach państwowych polskich uczono języka czeskiego jako przedmiotu. Wiele młodzieży czeskiej pobierało nauki w polskich gimnazjach i szkołach zawodowych. Życiem kulturalnym – czytelnictwem, teatrzykami, orkiestrami, wycieczkami – opiekowała się Czeska Macierz Szkolna, założona w 1923 r. We wszystkich większych koloniach istniały dobrze zorganizowane gniazda „Sokoła” oraz stráže ogniowe, w których często koncentrowało się życie kulturalne.

Na Wołyniu Czesi zamieszkiwali w 638 miejscowościach, nieraz wtopieni pojedynczymi rodzinami w polskie czy ukraińskie wsie. Największą i najlepiej urządzoną ko-

lonią czeską na Wołyniu była Wołkowyja, licząca aż 5000 ludności. Do większych czeskich osad na Wołyniu należał Kupiczów, położony o 25 km na południe od Kowla, otoczony mniejszymi czeskimi koloniami. Kupili go Czesi w 1870 r. od Marii Zagórskiej, która była córką Marii Naryszkinej, faworyty cara Aleksandra I, a żoną polskiego ziemianina Aleksandra Zagórskiego. Za udział w powstaniach 1831 i 1863 r. jego majątki zostały rozparcelowane i rozprzedane; 6 tysięcy morgów kupili od M. Zagórskiej – już po śmierci męża – Czesi, za 70 tys. rubli w srebrze. Taki był początek czeskiego Kupiczowa, którego mieszkańcy chlubnie i bohatercko spleli swoje losy z tragicznymi losami ludności polskiej w latach okupacji, zwłaszcza w czasie krwawego banderowskiego terroru.

Czesi wołyńscy zdecydowanie potępiali terror ukraiński wobec ludności polskiej, udzielali jej pomocy, ukrywali zbiegłych przed rzeżaniami, przeprowadzali do bezpieczniejszych miejscowości. Kupiczowski pastor Jan Jelinek – który ocalał wielu Polaków, podobnie jak i inni Czesi z Kupiczowa i okolicznych kolonii – pisze w swoich wspomnieniach:

Ukraińscy nacjonaliści kierowali się hasłem, że Ukraina musi być czysta „jak tza”. To znaczy składać się z samych Ukraińców. Mordowali więc Polaków, później zabrali się do Czechów. W Kupiczowie zamordowali 10 lub 11 mieszkańców narodowości czeskiej. Ginęli i przedstawiciele innych nacji, np. Rosjanie.

Trzeba tutaj wnieść istotną informację: z rąk UPA zginęło na Wołyniu 330 (1%) Czechów, Polaków około 60 tysięcy (18%).

Wstając rano – pisze J. Jelinek – nie wiedzieliśmy, co nas czeka do wieczora, a wieczorem – czy doczekamy rana... Wiem, że wielu uciekinierów przechowywało się w Kupiczowie jeszcze przed nadejściem do nas samoobrony z Zasmuk. Przechowywał Polaków Baloun, Żatecki i wielu, wielu innych. Nie było rodziny, która by nie pomagała. Pomagaliśmy uciekinierom dostać się do Zasmuk albo do Kowla. Wymagało to od przewodników wielkiej odwagi. Groziła im śmierć, podobnie jak uciekinierom. Ofiarnymi przewodnikami byli m.in. Zapotocki oraz Waclaw Kaczerowski z Dażwy (kolonia k. Kupiczowa – FB).

8 września 1943 r. Kupiczów i okoliczne urodzajne tereny z wyludnionymi polskimi miejscowościami zajęli Niemcy i Litwini w celu młócenia zboża i zbioru okopowych, bo zdeorganizowana wieś już kontyngentów nie dostarczała. Ale w pierwszych dniach listopada wojsko opuściło Kupiczów, który zaraz zajęli banderowcy. Sytuacja Czechów stała się krytyczna – groziła im zemsta za sprzyjanie ludności polskiej. 11 listopada delegacja Czechów ubłagała dowódcę polskiej samoobrony w Zasmykach, por. Władysława Czermińskiego „Jastrzębia”, by roztoczył nad Kupiczowem opiekę. Mimo braku zgody ze strony Inspektoratu AK w Kowlu „Jastrzab” następnego dnia zajął Kupiczów, przepędzając banderowską załogę. Ale UPA nie dała za wygraną. 13 i 22 listopada przypuściła silne ataki celem odbicia tej strategicznej miejscowości, ufortyfikowanej bunkrami, rowami strzeleckimi i zasiekami. W dramatycznych walkach Polacy i Czesi odparli ataki. Od tej pory szybko rosła rola Kupiczowa w polsko-czeskim ruchu oporu, w rozwoju terytorialnym i zbrojnym zasmyczko-kupiczowskiej bazy samoobronnej, co zdecydowanie zwiększyło bezpieczeństwo polskiej i czeskiej ludności.

W Kupiczowie przez pewien czas mieściły się sztaby Okręgu AK i kowelskiego zgrupowania 27. WD AK oraz jej szpital, wielo-

krotnie kwaterowały oddziały Dywizji. Tam polscy partyzanci w domu ludowym, wspólnie z Czechami, obchodzili uroczyste Wigilię 1943 r. przy suto zastawionych przez czeskie gospodynie stołach. I stamtąd, poderwani alarmem w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, wyruszyli na ratunek polskiej ludności w bazie zasmyckiej, napadniętej przez UPA. Brawurowym atakiem zniósł banderowską zasadzkę i razem z polską samoobroną napadniętych wsi przepędził rezunów, którzy zdążyli już spalić dwie wsie oraz wymordować ponad 50 osób, w tym wiele dzieci.

Kupiczowscy Czesi dali schronienie i wyżywienie tysiącom polskich uciekinierów ze spacyfikowanych przez Niemców Zasmyk 19 stycznia 1944 r. W takich ekstremalnych warunkach pogłębiała się dawna, sprzed wojny, przyjaźń wołyńskich społeczności – Polaków i Czechów. Wojenne losy wołyńskich Czechów, a więc i kupiczowian, są bardzo podobne do losów Polaków, nie tylko zresztą z Wołynia. Czesi byli deportowani na Sybir, prześladowani przez OUN-UPA i walczyli na wielu frontach, również na zachodzie – we Francji, w bitwie powietrznej o Anglię i w innych formacjach armii alianckich. Tylko z Kupiczowa i okolic 250 Czechów zgłosiło się na ochotnika do Czechosłowackiego Korpusu gen. Ludwika Swobody. Korpus stoczył wiele bitew, a naj-

Kościół pw. św. Wacława w Kupiczowie, zamieniony przez Sowietów na młyn. Fot. J. Walczewski



krwawszą o Przełęcz Dukielską. Trzeba tutaj podkreślić, że Czesi nie dzielą swoich kombatantów na *śluszných* i *mniej śluszných*, lecz wszystkim oddają należną cześć, a ze szczególnym pietyzmem czczą pamięć poległych w najkrwawszej bitwie dukielskiej. Podobieństwo losów i emocjonalny stosunek do ziemi młodości – Wołynia II Rzeczypospolitej – łączy trwale Polaków i Czechów wołyńskich.

I pamiętam piękny dzień – wspomina Czech z Kupiczowa, Józef Tomanek, mieszkający obecnie w Nowym Jorku – *kiedy z młodzieżą, z pieśniami i kwiatami przeszliśmy 25 km do odległego Kowla na powitanie prezydenta Ignacego Mościckiego*. Przyjazd prezydenta na Wołyń w 1929 r. z sentymentem wspomina w liście do mnie Jaroslav Mec z Pragi, były mieszkaniec Łucka: *Witaliśmy Pana Prezydenta i jego korowód przy wjeździe do Łucka... Dalszy niezapomniany dla mnie moment to, gdy podczas poświęcenia lotniska przez biskupa A. Szelażka Pan Prezydent przechodził obok pola namiotowego Wołyńskich Hufców Harcerzy. Stałem wówczas na warcie przy wejściu do namiotu naszego hufca. Pan Prezydent pogłaskał mnie po twarzy*.

Wspólna jest dla Polaków i Czechów z Wołynia tęsknota do ziemi młodości. Pięknie ją wyraził J. Tomanek, poeta i kompozytor, który o sobie powiedział: „Czech z pochodzenia, Polak z urodzenia, a Słowak z przekonania”:

*Jak wczoraj widzę pól bezkres spokojny,
Błotniste drogi, strzechy wśród drzew cieni,
Miasta i sioła, i lud bogobojny
i tych, co leżą już w cmentarnej ziemi.
Obłok jak żagiel nad Wołyniem płynie
Do nieboskłonu, gdzie jarzy się złoto...
Ech! żal mój gorzki chcę utopić w winie
Wraz z mą bolesną za krajem tęsknotą.*

Parę lat temu Czesi z Kupiczowa uroczystie obchodzili w Krasnym Dvore koło Pragi 130. rocznicę przybycia na Wołyń i założenia czeskiego Kupiczowa, bo Kupiczów jako *Kupiaczów* wymieniany jest w starych zapiskach już w XII wieku, a w XVII, w czasie wojen kozackich, był podobno ufortyfikowaną osadą, po której niestety nic nie zostało, prócz śladów po starych grobowcach na cmentarzu. Na jubileusz 130-lecia przybyło blisko 200 byłych kupiczowian

i wielu gości. Władze lokalne pomogły zorganizować wystawną i uroczystą imprezę. Rozpoczęto ją mszą św., celebrowaną przez legendarnego 88-letniego pastora J. Jelinka, ks. Aleksandra Piudzika z Elbląga i popa o. Aleksandra, podkreślając w ten sposób trójwyznaniowość wołyńskich Czechów.

Z okazji jubileuszu wydano zbiór wspomnień *Obrazky z Kupicova*, w opracowaniu Vaclava Kytla i Miloslavy Žakovej. Stanowią one wyjątkowo ciekawą i wprost urokliwą lekturę o Wołyniu, życiu i trudzie oraz obyczajach Czechów, a również o współżyciu z innymi nacjami.

Pobieżny rejestr najważniejszych wydarzeń z historii wołyńskich Czechów, naszych wypróbowanych przyjaciół, pozwala wysnuć wiele, mimo wszystko, optymistycznych wniosków. Ale mnie nasuwa się trochę inna, aktualna refleksja, bo oto nasze media, zwłaszcza telewizja, jakby zapomniały, że za południową granicą mamy bliskich nam swoją historią słowiańskich przyjaciół. A mogły nam te media pokazać wiele interesujących i pouczających faktów z niedawnej przeszłości i ciekawej teraźniejszości, zamiast natrętnego epatowania wzorcami życia z marginesu społecznego.

Literatura

Włodzimierz Mędrzecki, *Województwo wołyńskie 1921–1939*. Wrocław 1988.

Mieczysław Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Wołyniu*. Łuck 1929.

Josef Toman, *Pamatnik. Ucast zahranicnych Cechu z obce Kupicov na Volyni v bojich za ceskoslovenskou samostatnost*. 1946.

Josef Toman, „Zpravodaj” nr 8, 1999.

Josef Tomanek (Toman), *Niepowrotny czas*. Nowy Jork 1999.

Leon Karłowicz, *Wydarzenia w Kupiczowie w świetle wspomnień mieszkańca miasteczka*. [w:] *Okrutna przestroga*, w opracowaniu J. Dębski, L. Popek. Lublin 1977.

Józef Turowski, *Požoga. Walki 27. Wołyńskiej Dywizji AK*. Warszawa 1990.

Vaclav Kytl, Jaroslav Mec, *Volyn*. Maszynopis w posiadaniu autora oraz *Obrazky z Kupicova*, w opracowaniu Vaclav Kytl i Miloslava Žakova, 2000. Również: „Kupičovský hlasatel” nr 8, 9, 12, 13, 14.

Notkę biograficzną autora zamieściliśmy w CL S/2000.

Zofia Lewartowska

POLSKIEGO PRZESIEDLENIA – HISTORIA NIEZNANA

Przedstawiamy tekst ciekawy, choć miejscami kontrowersyjny. Został napisany przed kilkudziesięciu laty i podobno opublikowany w „Przeglądzie Tygodniowym” (jeszcze tego nie sprawdziliśmy, korzystamy ze starego maszynopisu). Autorka nie żyje od wielu lat. Jej notkę biograficzną zamieścimy w CL 4/01.

Wiadomości o konferencji jałtańskiej, która toczyła się w pierwszych dniach lutego 1945 r., dotarły bardzo szybko do Polaków, niezależnie od miejsca ich zamieszkania. Oczywiście bez szczegółów, jedynie w informacyjnym skrócie, głównie radiowym. Ogólny zarys reakcji był jednoznacznie optymistyczny. Nad wszystkim górowało potwierdzenie niezachwianej wiary, że sprawiedliwości dość szybko staje się zadość: zwycięska wojna kończy się, dobro wygrywa, złe przegrywa, hitlerowskie Niemcy zapłacą sowicie za swoje zbrodnie.

Na podstawie wspomnień z kontaktów między ludźmi i pamięci własnych odczuć, gotowa jestem przypuszczać, że na spornym obszarze przedwojennej Polski nikt nie kojarzył swych bliskich losów z dyskusjami przywódców mocarstw. Publikowane zdanie o zarysie powojennych granic kraju nie było traktowane zbyt serio. Polacy nie od dziś lubią wierzyć w to, co chcą, a już najmniej w rzeczy dla siebie nieprzyjemne. Obywatelowi X, Y, Z z Wileńszczyzny, Polesia, Wołynia i Wschodniej Małopolski do głowy nie przychodziło, że tam już za niego zadecydowano, gdzie spędzi resztę życia osiadłego, że na fakt skontrowania uprzejmej wobec sojusznika wątpliwości Churchilla, czy aby polska gęś nie udławi się nadmiarem terytoriów na zachodnich rubieżach, determinuje być może – jego zameldowanie się na bliższych Odrze obszarach, niż by to niektórzy chcieli.

W uczuciu spełnionych nadziei świętowano więc Dzień Zwycięstwa aż do chwili, gdy jałtańskie słowa zmieniły się w realia. Rozpoczęła się operacja przemieszczania bez precedensu w polskich dziejach,

miejmy nadzieję jedyna: repatriacja zza Buga i Sanu, wyrwywająca z korzeniami setki tysięcy ludzi. To już nie była wojna, nie towarzyszyli też ewakuacji korespondenci frontowi, a jednak była tej wojny epilogiem. Szła z marszu, w tempie nieprawdopodobnym, w czasie kilku miesięcy roku 1945 po 15 czerwca 1946.

Jej szczegóły, przebieg i problemy pozostają do dziś kartą mało znaną, zwłaszcza dla pokolenia powojennego. Czy temat był delikatny, czy autorów brakło, trudno przesądzić. W sumie strzępy tego exodusu pojawiły się w kilku w filmach, z których najpopularniejszy *Sami swoi* ujmował rzecz w konwencji komediowej. Dokumenty Polskiego Urzędu Repatriacyjnego, czyli tzw. PUR-u, były mało ciekawe dla dziennikarzy, a i tak – podobnie jak kroniki filmowe – dotyczyły jedynie „odbioru” repatriantów już w kraju. W literaturze może najbardziej *Płasi gościniec* Auderskiej przekazuje coś z prawdy tamtych lat. To właściwie wszystko.

W sumie wygląda na to, że z aktywnych uczestników operacji nikt się do pisania nie kwapi. Jestem więc prawdopodobnie jedynym polskim dziennikarzem, który zna zagadnienie bliżej i szerszej z racji pracy w Pełnomocnictwie Rządu Tymczasowego RP ds. Ewakuacji Polaków ze Lwowa i z tej perspektywy mogę spierać się o pewne rzeczy nawet z historykami współczesności.

A czas już chyba na przypomnienie pewnych prawd, gdyż teoretycy dochodzą już niekiedy do wniosków, które oby nie stały się źródłowymi. W naukowym piśmie natknęłam się na wywód, iż przyczyną fatalnego dla Krakowa złego wyniku referendum był fakt, że ludność miasta w 1/3 składała się z zakompleksionych politycznie lwowiaków. Nie składała się. Kardynalnym założe-

niem strony polskiej przy ewakuacji było kierowanie repatriantów wyłącznie na ziemie zachodnie, nie wydano ani jednej karty na centrum, pociągi szły tędy tylko tranzytem. Później w obrębie kraju nastąpiły oczywiście przemieszczenia, ale w całej masie osadnicy szli na zachód trzema liniami: z południa na Bytom, Opole, Wrocław, Kłodzko itp.; środkową, jak z łuku strzelił, na drugą stronę Polski; północną na Szczecin, Pomorze i Mazury.

Wracajmy jednak *ab ovo*.

Trzy strony medalu

Akurat tym razem było ich wyjątkowo trzy: państwowa – radziecka, państwowa – polska jako realizatorzy, oraz masa zainteresowanych obiektów biernych, poddawanych ewakuacji. Dążenia i motywy każdej były różne i dziwić się temu zbytnio nie należy.

Stronie radzieckiej zależało na maksymalnie szybkim zakończeniu sprawy przesądzonej – wiązały się z tym metody działania. Odbiegały one jednak od znanych z lat 1939–41 – sprawa dotyczyła teraz obcokrajowców. Pamiętajmy, że Polacy z tych ziem po wrześniu [1939 r.] otrzymali paszporty jako obywatele radzieccy, ze wszystkimi tego aktu konsekwencjami, włącznie do objęcia poborem do armii radzieckiej w obliczu starcia z Niemcami. Obywatelstwo polskie zostało nam zwrócone w czasie wojny, po rozmowach Sikorski–Stalin, co dopiero umożliwiło tworzenie armii. Cywile, którzy przeżyli na miejscu w dystrykcie *Galizien*, dopiero po wyzwoleniu otrzymując dokumenty z rąk radzieckich, dowiedzieli się o powrocie do swojego obywatelstwa. Sposób traktowania był również reperkusją tej zmiany: nikogo nie zatrzymywano, nacisku na wyjazd nie zastosowano, oddziaływanie miało raczej charakter psychologiczny: gdy ociąganie się zarejestrowanych z wyjazdem stało się ewidentne, zastosowano legitymowanie uliczne. Kto miał zaświadczenie o rejestracji na wyjazd, otrzymywał polecenie zgłoszenia się w komisji dla realizacji dalszego ciągu. Wystarczyło; odtąd ewakuacja nabrała tempa.

Stronie polskiej śpieszyło się z innego powodu. Chodziło o maksymalnie szybkie zasiedlenie opustoszałych, a zarazem nękanych przez szabrowników ziem *odzyskanych*. Stąd wytyczne głównego pełnomoc-

nika zalecały pośpiech. Tylko pusty zachód dawał też szansę ekwiwalentu za mienie pozostawione, który wziął na siebie rząd polski. Wobec tych, którzy nie zdążyli, kołaczę się ta sprawa do dziś, z coraz bardziej biurokratycznym skutkiem. [...]

Reakcja trzeciej strony, czyli ewakuowanych, zależał od etapu. Początkowo nikomu się nie śpieszyło – a nuż da się przeczekać? Nikt chętnie nie żegna się z domem rodzinnym, dorobkiem życia i bliskimi na cmentarzach. Później coraz częstsze stało się rejestrowanie w komisji na wszelki wypadek. W miarę gdy dotarła jednak do świadomości nieuchronność decyzji i zaistniała obawa wyznaczenia terminów prekluzywnych, po których zamkną się granice – masy runęły na podwoje komisji ewakuacyjnych. Wtedy to wzdłuż całej ulicy przedzieraliśmy się rano do pracy, skacząc po wojskowych ciężarówkach [autorka pracowała w biurze repatriacyjnym we Lwowie], a w budynku nie zostały się ani drzwi, ani okna, a wejście za biurko oznaczało, że nie zdołamy się stąd ruszyć do wieczora.

Znajdująca się w oku cyklonu dwustronna komisja – czym była i jakie miała warunki?



Ratusz lwowski *ozdobiony* portretami przywódców sowieckich: Stalin, Woroszyłow, Mołotow, Chruszczow

Był to zaiste fenomen pod wieloma względami. Twór efemeryczny, o strukturze najprostszej, bez majątku trwałego, wydziałów, gabinetów, a nawet telefonu, czyli bez niczego. Siedziba była wypożyczona, skład personalny sformowany *ad hoc*, głównie z młodych, bez przeszkolenia. Przy tym wzór antybiurokratyzmu. Było nas w sumie – jeśli pamiętam – 12 po stronie polskiej i tyleż po radzieckiej, do wspólnego urzędowania, bok w bok, przy wspólnych biurkach. Na tę „imponującą” liczbę załogi składali się: pełnomocnik polski i jego zastępca (pp. Sławiński i Zaleski), radziecki (tt. Bułhakow, b. podobny do Chruszczowa, i człowiek bez uśmiechu, mjr Zapłatin). W hierarchii niższej szło po czterech polskich i radzieckich pracowników, odpowiadających za ewakuację z dzielnic miasta. Zadaniem ich było wypisanie kart na podstawie metryk (przy czym likwidowano *kennkarty*), dokonanie opisów majątku pozostawianego, rotacyjne uczestnictwo na rampach przy odprawie transportów i dyżury nocne. Te miejsca pracy uchodziły za niezłe, na górze było cicho, można się było poruszać swobodnie, czasami wyjść w teren. Niskie piętra „Hadesu” reprezentował za to parter, zwłaszcza w czasie *runu* na komisję. Tu wydawano karty ewakuacyjne i wyznaczano warunki wyjazdu. Po czterech następnych referentów wystawianych było na najsilniejszą presję zdesperowanego tłumu, walczącego o wszystko: wybrany transport, więcej miejsca w wagonie, dogodną datę i punkt docelowy. W zasadzie pracownicy mieli się tu zmieniać co 2 tygodnie, bo nerwy odmawiały posłuszeństwa, ale to tylko teoria. Sama wysiedziałam w tym piekle parę miesięcy, gdyż mój radziecki odpowiednik dla *czerwonoarmiejskiego rejonu*, czyli Śródmieścia, był alergiczny na kolegów polskich, a mnie jakoś znosił. Działaliśmy odąd razem aż do końca ewakuacji. Pozostałe 2x2 etaty to dział transportu. Też mieli co robić: całokształt pertraktacji z koleją, formowanie transportów i ich pilotaż, na zmianę co drugi dzień, do granicy w Medyce. Możliwości przebiegania w taborze równały się zeru. Do wyczynów zaliczyć można wyszperanie gdzieś komuś tak zwanej szumnie „salonki”, czyli czegoś pamiętającego młodego *Franz Josefa*. Nią właśnie z transportem Kurii wyjechał arcybiskup

Baziak. Towarzysze radzieccy przypatrywali się tym naszym zabiegom zwykle bez uwag, choć nie kryli lekkiego zdziwienia. Drugi transport miał dla nas wymiar historyczny: odprawialiśmy w drogę tym razem nie ludzi, a dzieło – Panoramę Raclawicką. Starania przy zdobywaniu platform znalazły zrozumienie drugiej strony. O ile mi wiadomo – a w komisji słyszało się wiele – oporów w przekazaniu nie było. Krajowe perypetie panoramy były już raczej tworem rodzimych gorliwców.

Tyle o ludziach komisji. Jeśli chodzi o oprzyrządowanie tej międzynarodowej instytucji, to składało się ono z biurek-gratów, leciwych kas pancernych na karty ewakuacyjne (będące drukami ściślego zarachowania), kuchni, pod którą czasem udało się rozpalić, dziurawej siatki, na której „wypoczywaliśmy”, czuwając nocą nad nienaruszalnością tych dokumentów, za które odpowiadało się wolnością. Był też element nowoczesnej techniki: samochód-antyk z demobilu, do dyspozycji pełnomocników. Raz, gdy nie normowany i tak czas pracy przekroczył granice przyzwoitości, tj. *godzinę duchów*, rozwieźli nim „damy” po domach – piekielnie warczał. Z odpraw na rampach wracało się oczywiście *per pedes*, bo było wczesnie – ok. 22 czasu miejscowego.

[...] Niezwykły twór, jakim była komisja, załatwił w parę miesięcy i dowiózł do granicy sto kilkadziesiąt tysięcy petentów, na pewno nie ku ich zadowoleniu, ale zawsze. Po wykonaniu gigantycznego zadania komisja rozplynęła się bez śladu. Nie wybiełam jej obrazu – nie składała się z aniołów. Przedstawiam tylko osobliwość tej drugiej strony medalu.

Na pewno najwięcej należałoby napisać o masach repatriantkich. Dla nich był to czas ciężkiej próby, który wrył się w pamięć milionów uciążliwością, prymitywem i ograniczeniami. Faktów nic nie zmieni. Wykonawców, z racji warunków, zasięgu i narzuconego tempa, sytuacja zmuszała do działań maksymalnie uproszczonych i zdecydowanych. Są chwile – jak na froncie – gdy muszą zamilknąć delikatności, a rodzi się nie zawiniona brutalność. Ostatnia polska część komisji była w sytuacji analogicznej: mieliśmy przekraczać granicę tylko w parę miesięcy później, po zdaniu materiałów do centrali w Łucku.

Dokończenie w CL 4/01

SOWIETYZACJA NASZYCH ZIEM WSCHODNICH

Poniższy tekst pochodzi z wydawanego w okupowanej Polsce czasopisma „Walka”, nr 14 z 12 lipca 1940 (rok I).

Lwów, w lipcu 1940

Ciężkie chwile przechodzą nasze ziemie wschodnie pod władzą bolszewicką. Krótki okres rządów wojskowych, nacechowany większą swobodą, a nadto budzący złudzenia co do swojej tymczasowości, minął szybko. Minęły też szybko nadzieje na rychłą interwencję armii wschodniej. Październikowe wybory do konstytuanty, formalne przyłączenie okupowanych terenów do Sowieców, wprowadzenie władz cywilnych na czele z osławionym GPU szybko otworzyło oczy na istotny stan rzeczy. Stosunki na naszych ziemiach szybko zaczęły upodabniać się do stosunków w Sowieciech. Handel, częściowo, o ile chodzi o większe składy fabryczne, został znacjonalizowany od razu. Inne sklepy, zmuszone do prowadzenia handlu i wyprzedawania towarów, a nie mające możliwości nabycia nowego ich zapasu, wymierały stopniowo. Szybko też przyszła formalna nacjonalizacja, połączona, jeśli chodzi o handel, z odebraniem właścicielom uzyskanych ze sprzedaży pieniędzy. Dalszym etapem była nacjonalizacja domów, połączona z wyrzucaniem z mieszkań właścicieli. Szybko przychodzi też nacjonalizacja przemysłu i stworzenie, zamiast dawnych przedsiębiorstw, urządzonych na modłę sowiecką trustów i kombinatów, zależnych od Moskwy lub w pewnych wypadkach – Kijowa. Przewidziane jest zresztą przekształcenie przemysłu, zlikwidowanie wielkiego i pozostawienie jedynie lekkiego, opartego na gazach ziemnych. Likwidacja odbywa się przez przerobienie zapasów surowca.

Stosunki w dziedzinie kultury są również oplakane. Wprowadzono tu konsekwentnie zmiany, podyktowane przez zasady ustroju sowieckiego, kasując np. w szkołach powszechnych i średnich religię, historię Polski, wprowadzając natomiast język rosyjski, ukraiński i historię partii komunistycznej, i wyrzucając ze szkoły działalność społeczną, gdzie jednak pozwolono w zasadzie dalej szkoły temu samemu personelowi prowadzić. Uczelnie wyższe, z wyjątkiem części wydziału prawnego na Uniwersytecie, czynne nadal, przy czym profesowie cieszą się pewnymi względami. Księgarnie nadal czynne, skonfiskowano jednak wszystkie dzieła ekonomiczne. Prześladowane religia i duchowieństwo. Prasa, rzecz prosta, wyłącznie bolszewicka, propagandowa, rozpowszechniana niżej kosztów, ukraińska i polska, drukowana w fatalnym polskim języku.

Tajna praca prześladowana, niszczone przez bardzo liczne prowokacje, operujące m.in. fałszywymi pogłoskami.

Tragedią naszego społeczeństwa są masowe wysiedlenia na wschód, do Archangielska, na południowy Ural, do Kazakstanu, Krasnojarska, do Irkucka. Mają one miejsce we wszystkich czterech, wchodzących w skład Małopolski Wschodniej, tzw. obłastiej, zastępujących województwa, mianowicie w Lwowskim, Tarnopolskim, Stanisławowskim i Drohobyckim; podobno na północy jest gorzej. Po większych własnościach ziemskich zaczęto wywóz do leśników, gajowych, osadników wojskowych i rodzin wielu oficerów. Zaczęło się to już w lutym, kiedy wywieziono pierwszą wielką transzę, kontynuując potem wywożenia na mniejszą skalę. Ogromna fala wysiedleń, rozszerzona na ludność przede wszystkim miejską, przyszła w połowie kwietnia; dotknęła ona przede wszystkim inteligencję. Z samego Lwowa wywieziono do 15 tysięcy osób. Nowa taka fala przyszła na rubieży maja i czerwca, wszyscy jednak spodziewają się, że nie jest to koniec. Według zapowiedzi ma być wywieziona prawie całość polskiej inteligencji, a nadto znaczna część drobnomieszczactwa i robotników, którzy czekają na swą kolej. Ukraińców wywożą mniej licznie, zresztą znaczna część ich inteligencji zdążyła uciec na zachód. Mało stosunkowo wysiedlenia dotyczą Żydów, którzy i przy tym ustroju potrafili zorganizować sobie życie, dostając się na służbę w sowieckim przemyśle lub instytucjach.

(R)

Andrzej Rybicki

PRZYPADKI KSIĘDZA JAKUBA

Autor spisał opowieść sędziwej Pani Ireny Sandeckiej z Krzemieńca o pierwszym powojennym proboszczu krzemienieckim, Jakubie Macyszynie. Uzupełniła p. Danuta Trylska-Siekańska.

Krzemieniec, miasto Juliusza Słowackiego, gdzie powstało i działało przez lata słynne Liceum Krzemienieckie, miało przed wojną kilka kościołów. Ostatnia wojna, a przede wszystkim rządy komunistyczne zrobiły swoje – wiernym odebrano świątynie, w licealnym kościele urządzono salę gimnastyczną. Zachował się kościół parafialny pod wezwaniem św. Stanisława, Biskupa i Męczennika, ale bez proboszcza.

Przez całe dziesięciolecia, od końca wojny do roku 1955, oficjalną kościelną władzą była rada parafialna (wszak żyliśmy w „kraju rad”), popularna *Dwudziestka*. Składała się z 20 osób, z prezesem, sekretarzem i skarbnikiem na czele. Lata powojenne to był czas wielkiej próby dla krzemienieckich parafian, w zdecydowanej większości Polaków. Księża byli tylko „najemnikami” rady, przyjeżdżali na jej prośbę i za pozwoleniem *Pełnomocnika do spraw Religii Rzymskokatolickiej* na województwo tarnopolskie, sowieckiego urzędnika, urzędującego w Czortkowie, a później w Tarnopolu. Duszpasterze działali 3–4 dni, zaopatrzeni w odpowiedni papier, i wyjeżdżali. W Krzemieńcu bywali czterej księża: Jan Rutkowski, Marceł Wysokiński, Alojzy Kaszuba i Bronisław Mirecki. Po wyjeździe księdza administracją kościoła i cmentarza, a przede wszystkim organizacją życia religijnego zajmowali się sami parafianie. Remonty, terminowe płacenie horrendalnego podatku – tego prawdziwego i tego ukrytego na

przykład w dziesięciokrotnie zawyżonych cenach energii elektrycznej, to wszystko stanowiło codzienność „dwudziestki”. Młodzież parafialna objęła we władanie kościelny chór, a dwoje najzdolniejszych udało się wykształcić w szkole muzycznej.

Trudno tu wymienić wszystkich ofiarnych mieszkańców Krzemieńca, były ich dziesiątki, ale nie sposób pominąć Melanii Kańskiej. Całą duszą poświęciła się ona krzemienieckiemu kościołowi. Codziennie, niezależnie od pory roku i pogody, otwierała kościół dla wiernych, modliła się przy wszystkich ołtarzach. Pani Kańska prowadziła nabożeństwa, Drogę Krzyżową, odwiedzała chorych i modliła się na pogrzebach. Przy tym wszystkim mocno ścisłała parafialny woreczek i pilnowała, aby nie zaniedbać terminów opłat. Potrafiła również wiele zdziałać u władz, żaden dygnitarz nie potrafił się oprzeć spojrzeniu jej niebieskich oczu. Wierni w sobotę zbierali się na „polskie” nieszpory, a w niedzielę na tzw. „sumę”. Trudną, o dyplomatycznym zabarwieniu funkcję wyjednywania u sowieckiego pełnomocnika zgody na jednorazowy przyjazd księdza pełniła Zofia Majewska, która też zawsze gościła u siebie duchownych.

I stało się, dostali swojego księdza...

Po dziesięciu latach „bezkrólewia” (1945–55) krzemieńczanie otrzymali wreszcie zgodę władz na przybycie i pracę stałego proboszcza. Nie śmieli przypuszczać wtedy, że stosunkowo młody, 43-letni kapłan Jakub Macyszyn pozostanie w mieście aż 18 lat, tj. do swojej śmierci. Wiele się zmieniło, gdy przyjechał do Krzemieńca. Co prawda nadal o parafialnym życiu decydowała „dwudziestka”, ale powoli ster rządów przejmował – zresztą zgodnie z prawem kanonicznym – ksiądz. Zamieszkał i z czasem zameldował się w domu Zofii Majewskiej, gdzie też powstała pierwsza powojenna plebania. Również w pobliżu mieszkała pani Irena Sandecka – jedno z najlepszych źródeł informacji o historii Krzemieńca. *Widziałam wielokrotnie ciężką pracę kapłana* – opowiada. – *Światło świeciło się do późna w nocy, ciągłe wizyty parafian z różnymi problemami, a i wszelkiego rodzaju interesanci nie dawali księdzu chwili wytchnienia.* Do tego dochodziły częste wyjazdy do innych miejscowości.

Początkowo ksiądz opiekował się jedynie krzemieniecką parafią, ale z czasem przybyła mu również parafia w Hałuszczyńcach, niedaleko Tarnopola, a po śmierci ks. Adamczyka, proboszcza w Borszczowie, także i tamtejsza, położona na południowo-wschodnim krańcu Tarnopolszczyzny. Ogrom pracy księdza Jakuba najlepiej było widać w czasie świąt: najpierw odprawiał pasterkę w Borszczowie, potem w Hałuszczyńcach, by późno w nocy przyjechać do Krzemieńca i już następnego poranka odprawić świąteczne nabożeństwo.

Z czasem ksiądz ustalił sobie program: co dwa tygodnie był w Krzemieńcu w sobotę, niedzielę i poniedziałek, dwie pozostałe niedziele pozostawiał na tamte miejscowości. W sowieckim imperium, gdzie władza walczyła z wiarą wszelkimi metodami, księża byli na wagę złota. Sami krzemienieccy parafianie nie wiedzieli nawet, gdzie ksiądz jeździ. Tak też było bezpiecznie i dla niego, i dla nich. Dużo później dowiedzieli się, że odwiedzał również niedaleki Szumsk.

Taki tryb życia, ciągle w rozjazdach, ciągle w biegu, z niepewnym jutrem, odbijał się ujemnie na zdrowiu księdza. Kiedy przybył na parafię, był mężczyzną potężnym, wysokim, barczystym. Jak sam opowiadał – w lwowskim seminarium kładł na rękę wszystkich kleryków. Jego się wzmacniał dodatkowo jego potężny, głęboki głos. Powstała nawet dość zabawna anegdota – przy okazji jakiejś narady któryś z miejscowych komunistycznych notabli powiedział: – *Szkoda, że to ksiądz, byłby z niego świetny dyrektor kołchozu.* Tak więc proboszcz, niczego sobie mężczyzna, z czasem zaczął podupadać na zdrowiu. Zaczął mieć kłopoty z chodzeniem, ciągle był przeziębiony, a i ogromne ilości łykanych lekarstw powoli, ale skutecznie robiły swoje.

Dawaj papiery!

Na to wszystko nakładały się jeszcze kłopoty i szykany. Komuniści trzykrotnie odmawiali mu zgody na odwiedzenie umierającej matki. Jednak najgorsze były ciągle utarczki z władzami o kościół. Ksiądz miał obowiązek składania kwartalnych sprawozdań – nazywało się to *raporty o pracy w kościele*. Już przedtem wszyscy parafianie byli szczegółowo opisani, policzeni: nazwisko,

imię, adres, wiek, wykształcenie i oficjalne zajęcie – to były podstawowe dane, jakie trafiały na nasze karty. Później uzupełniano je kolejnymi wpisami, często też donosami. Ksiądz zaś musiał pisać, ilu było parafian na niedzielnej mszy w kościele, chrztów – oczywiście za zgodą obojga rodziców, ślubów, pogrzebów kościelnych. Nie mogło zabraknąć w raporcie informacji o zebranych na tacę pieniądzech – bolszewicka władza musiała wiedzieć o wszystkim, o najdrobniejszym wydarzeniu w parafii. Założono, że ilość parafian musi stale i systematycznie spadać – po prostu miał być obraz stopniowo obumierającego katolicyzmu, zaniku religii. Tymczasem rzeczywistość była zupełnie inna. Kościół w Krzemieńcu, jedyny na ogromnej wołyńskiej przestrzeni, odwiedzało coraz więcej wiernych. Ksiądz nieopatrznie w jednym z kolejnych raportów wykazał więcej ludzi na mszy, więcej udzielonych ślubów kościelnych i więcej chrztów.



Kościół parafialny pw. św. Stanisława bp. w Krzemieńcu. Fot. J. Walczewski

Gdy to dotarło do pełnomocnika, ten walnął pięścią w stół – jak to ksiądz relacjonował – poczerwieniał z wściekłości i krzyknął: – *Dawaj dokumenty!* – a to oznaczało jedno: likwidację kościoła, dla księdza zaś zakaz pracy duszpasterskiej nie tylko na danym terenie, ale w całej sowieckiej Rosji. Ksiądz odrzyknął tylko: – *Dokumentów nie dam!* i przez chwilę obaj przekomarzali się. – *Dawaj... – Nie dam...* Nastąpiło długie milczenie, widać, że w tej sowieckiej głowie coś zaczęło kołatać. Przecież likwidacja kościoła i wyrzucenie księdza to dla komunistycznego dygnitarza mogło oznaczać tylko jedno: utratę jedyne go podwładnego, jedyne go obszaru ludzkiego działania, którym się zarządzało, i w konsekwencji utratę stanowiska. Ksiądz przytomnie powiedział, że *zaraz raport będzie taki, jaki powinien być*. I już od tamtej dramatycznej rozmowy każdy kolejny raport był jak najbardziej „właściwy”. Rozpoczęła się wieloletnia gra z władzą, pełna niepewności, dręcząca duszę walka o utrzymanie krzemienieckiej parafii, której towarzyszyło powtarzane pytanie: *odkryją, czy nie, to fałszerstwo?* Na szczęście pełnomocnik sam wiedział, że obaj *jadą na tym samym wózku* i dobrze pilnował, by sprawa raportów nie wyszła na jaw.

KGB też chce wiedzieć...

Pełnomocnik nie był jedynym sowieckim utrapieniem księdza. KGB przydzieliło mu specjalnego „anioła stróża”, który nie odstępował go na krok. Drobny, chudy, wyglądający bardziej na nauczyciela czy urzędnika niż oficera KGB, wywiadowca był wszędzie: w podróży, na mszy, często po prostu rozmawiał z księdzem, męcząc go pytaniami. Kiedyś, w Tarnopolu, szli razem przez opustoszały park – jak to później opowiadał ks. Macyszyn – i nagle ten pracownik służb specjalnych zadał dziwne pytanie: – *Czy ksiądz naprawdę wierzy w Boga?* – *Jesteśmy tu sami* – padła odpowiedź – *ciemno i pusto wokół, a ja mógłbym cię zgnieść w dwóch palcach, ale tego nie zrobię, bo właśnie wierzę w Boga*. Po tej rozmowie „anioł stróż” zniknął, by nie pojawić się już więcej.

Remonty kościołów – było to wyzwanie, któremu ksiądz starał się sprostać najlepiej, jak umiał. Zaczął od borszczowskiej świątyni,

ni, niewielki kościół przetrwał w stosunkowo dobrym stanie i dawał gwarancję szybkiego zakończenia prac. Później zabrał się za kościół krzemieniecki. Jako dobry gospodarz zaczął od dachu. Ukończenie prac remontowych przy kościele przerwała śmierć księdza. Zmarł 9 sierpnia 1973 r. w Borszczowie, w przeddzień spotkania z rodzonym bratem, który przybył z Polski. Śmierć ta pozostawiła pewne znaki zapytania, na które do dzisiaj nie ma odpowiedzi. Ksiądz po obiedzie poczuł się bardzo źle, *jak nigdy dotąd*. Przewieziono go do szpitala, gdzie nie postawiono żadnej diagnozy, a za trzy dni zmarł. Nie przeprowadzono sekcji zwłok, co jeszcze bardziej podsycało atmosferę tajemniczości wokół jego śmierci. Na pogrzeb do Borszczowa przybyły setki ludzi z dalekich stron. Z Krzemieńca pojechał cały wynajęty autobus parafian – to właśnie tam dowiedzieli się szczegółów o śmierci ich księdza. Wszyscy pamiętali, jak jeszcze w Krzemieńcu przed samym wyjazdem oświadczył: *Ludziom uczyniłem wszystko, o co mnie prosili*. Nie wiedzieli, że to było ostatnie dla nich przesłanie.



Wnętrze kościoła parafialnego w Krzemieńcu.
Fot. J. Walczewski

Z art. konserwatorem JANUSZEM SMAZĄ

rozmawia

Janusz M. Paluch



Fot. Monika Stachnik-Czapla

Jest Pan Doktor człowiekiem nieuchwytnym. Nie udało się nam porozmawiać w sierpniu we Lwowie, kiedy spotkał się na Cmentarzu Orłąt. Kolejne moje telefony dopadały Pana a to w Kamieńcu Podolskim, a to w Paryżu...

Tak wyszło, ale za to możemy rozmawiać w tak pięknym miejscu pod Wawelem.

Kiedy ma Pan czas na pracę?

Pracuję również w podróży. Mam czas na pracę, bo nie mam czasu na wypoczynek.

Zajmuje się Pan głównie konserwacją cmentarzy polskich w różnych rejonach Europy. Czy to Pana wybór, specjalizacja podjęta już podczas studiów, czy po prostu ta praca Pana znalazła?

Rzeczywiście można tak określić, że praca mnie znalazła. Chociaż też nie do końca. Na Wydziale Konserwacji Dzieł Sztuki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie –

mojej macierzystej uczelni – w ramach pracy dyplomowej zajmowałem się konserwacją nagrobka na Cmentarzu Powązkowskim wybitnego ilustratora Jana Feliksa Piwarskiego autorstwa Andrzeja Pruszyńskiego. To był dla mnie profesjonalny początek. Zaznaczam, że zajmuję się nie tylko konserwatorskimi pracami na cmentarzach. Aczkolwiek od wielu już lat odnawiam ślady polskości w wielu krajach Europy i nie tylko Europy. Skoro mowa o cmentarzach: zacząłem od odnowienia nagrobków znanych postaci XIX-wiecznej Warszawy na cmentarzach rzymskokatolickich, ewangelicko-augsburskich, prawosławnych, żydowskich. Następnie przez wiele lat prowadziłem prace nad kompleksami nagrobków z Łemkowszczyzny, Bojkowszczyzny i Roztocza oraz przy polskich grobach na Wschodzie i Zachodzie Europy. M.in. w Paryżu zabezpieczyliśmy (wraz z prof. A. Kossem) nagrobek Fryderyka Chopina na Cmentarzu Père Lachaise. Obecnie kontynuujemy prace na Cmentarzu Montmartre, gdzie odnawiamy nagrobki, które stanowią zbiorowe mogiły naszych wybitnych rodaków z tzw. Wielkiej Emigracji. Teraz rozpoczęliśmy prace (z inicjatywy Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa z Warszawy) na niewielkim XVIII-wiecznym cmentarzu w centrum starego Drezna, zwanym swego czasu Cmentarzem Polskim. Zachowało się tutaj do naszych czasów ponad 40 nagrobków, m.in. generałów: Stanisława Woyczańskiego, Klemensa Kołaczkowskiego, kompozytora Kazimierza Brodzińskiego, poety Romana Zmorskiego i wielu innych znanych z historii postaci. Konserwację prowadzimy wspólnie z Niemcami, wspólne jest ich finansowanie. Zakończenie tych prac – za kilka lat – zwieńczone będzie konferencją naukową i wspólną publikacją naukową. W ostatnim natomiast czasie Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa zleciła mi opracowanie dokumentacji konserwatorskiej cmentarza „Polskich Wygnańców” w Tanzanii. Znajduje się tam ponad 140 nagrobków. Zdecydowana większość pochodzi z okresu 1943–1950. Ten cmentarz mówi o strasznym wyniszczeniu biologicznym uchodźców z Rosji Sowieckiej: ludzie umierali w wieku dwudziestu paru lat; młodość, dzieci, matki w dniu urodzin niemowlęcia... Ta analiza jest wstrząsająca!

Kto zgłosił konieczność zajęcia się tym cmentarzem?

Tamtejsza Ambasada RP. Rada Ochrony Pamięci wykonuje w ostatnich latach wielce ważną i ogromną pracę, szkoląc i uwrażliwiając młodą kadrę naszych dyplomatów na sepulkralne ślady polskości występujące przecież pod każdą szerokością geograficzną świata.

Głównym terenem Pana pracy konserwatorskiej są jednak Kresy. Jak Pan tam trafił?

Kocham góry. Pochodzę z gór – urodziłem się w Wadowicach. Kończyłem Liceum Plastyczne im. A. Kenara w Zakopanem. Moim marzeniem było poznanie legendarnych i nie tak dawno jeszcze niedostępnych pasm górskich Gorganów czy Czarnohory. Już 11 lat pracuję za wschodnią granicą, ale w tamtejszych górach udało mi się przebywać parę dni. Ale one zawsze znajdują się na horyzoncie i mam nadzieję, że kiedyś do nich na dłuższą dotrę. Pierwszy raz pojechałem tam z Towarzystwem Karpacim w 1990 roku, m.in. do Lwowa i Żółkwi. I zatrzymałem się tam na dłużej...

To było pierwsze doświadczenie, ale i przepustka do kolejnych miejsc wymagających natychmiastowej interwencji konserwatorskiej? Jakie jest stanowisko władz ukraińskich w sprawie ratowania polskich zabytków architektonicznych? Na jaką pomoc, współpracę możemy tam liczyć?

Żółkiew, to znaczy odnowienie XVII-wiecznej tak ważnej dla historii Polski świątyni, zmobilizowała wielu. Ma przecież i Kraków swój wkład w ratowanie kościoła pod wezwaniem św. Wawrzyńca, m.in. przez dofinansowanie części blachy miedzianej na dach fary czy konserwację XIX-wiecznych sarkofagów z krypty centralnej. Pierwsze moje pobyty tutaj, wraz ze studentami, finansowane były przez Polskę i Ukrainę na podstawie porozumienia podpisanego w Kijowie pomiędzy Polskim Towarzystwem Opieki nad Zabytkami a Ukraińskim Towarzystwem Opieki nad Zabytkami Historii i Kultury w roku 1983. W ramach tego porozumienia młodzież ukraińska przyjeżdżała do Polski do prac na cmentarzach ukraińskich, a młodzież polska na Ukrainie rato-

wała polskie zabytki. Później na Ukrainie nastąpił krach finansowy, który praktycznie przekreślił wspólne plany. Musieliśmy liczyć tylko na siebie. Po wielu latach pracy i doświadczeń mogę stwierdzić, że nie tylko nie ma, ale i nie będzie pomocy finansowej ze strony ukraińskiej. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Konserwacja zabytków jest bardzo kosztowna, a wiemy, jak trudna jest sytuacja gospodarcza Ukrainy. Nie chcę już nawet wspominać, ile z własnej kieszeni dołożyłem do różnych prac konserwatorskich – nie tylko przez pracę bez honorarium. W wielu przypadkach, na przykład w Żółkwi, prace konserwatorskie odbywają się dzięki praktykom studentów z Wydziału Konserwacji Dzieł Sztuki ASP z Warszawy i Krakowa oraz pracom dyplomowym ze stołecznej uczelni. Pracując w tym systemie, odnawianie tak ogromnego zabytku, jakim jest kościół w Żółkwi, przeciągnie się na całe lata. Na szczęście ta moja działalność spotkała się z pełnym zrozumieniem Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i od kilku lat prace w Żółkwi finansowane są przez Biuro Pełnomocnika Rządu do spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą. To bardzo ułatwia mi pracę i pozwala skupić na dydaktyce. Ostatnio, znów Kraków, tym razem Małopolski Bank Regionalny, podjął się sfinansowania konserwacji XIX-wiecznej płyty nagrobnej królewiczów Jakuba Ludwika i Konstancji Sobieskich.

W naszej rozmowie mówi Pan cały czas o konserwatorach z Polski. Czy na Ukrainie nie wytworzyła się jeszcze szkoła miejscowych konserwatorów, z którymi moglibyście współpracować?

Kiedy pojawiłem się na Ukrainie jako konserwator, zostałem bardzo nieufnie przyjęty. I słusznie, każdy ma prawo do zasady ograniczonego zaufania do nieznanego partnera, który w dodatku pojawia się z grupą kilkunastu studentów i przystępuje do renowacji unikatowych XVII- i XVIII-wiecznych zabytków. Oczywiście te bariery szybko zostały zlikwidowane. W tej chwili na płaszczyźnie administracyjnej mamy bardzo dobrą współpracę. Jeśli chodzi o konserwatorów... No cóż, na Ukrainie do dziś nie wytworzyła się szkoła konserwacji rzeźby i architektonicznego detalu kamiennego,

ceramicznego, stiukowego, gipsowego. Istnieją wprawdzie świetne pracownie konserwacji malarstwa ikonowego, tablicowego czy ściennego – choćby we Lwowie. Tego uczą na tamtejszej Akademii. Jednak nasza specjalizacja wydaje się być w chwili obecnej najbardziej potrzebna. Dziesiątki cmentarzy, kościołów i kamienic czekają na ratunek. Mamy również wspólny sukces: razem z młodzieżą i ich nauczycielami z lwowskiego *koledżu* im. I. Trusza przeprowadziliśmy praktyki zawodowe w kościele klasztornym ojców dominikanów w Żółtkwi. Młodzi konserwatorzy ukraińscy zajmowali się malarstwem ściennym, my zaś nagrobkiem Teofili Sobieskiej, matki króla Jana III. Praktyki były finansowane z funduszu międzynarodowego w ramach programu Europejska Przestrzeń Kulturowa. Od lat staramy się namówić polskie uczelnie, by fundowały stypendia dla ukraińskich konserwatorów w tych deficytowych specjalizacjach. Wiem, że i w Krakowie tacy stypendyści byłiby mile widziani. Problem zaczyna się jak zwykle w chwili, kiedy zaczynamy rozmowę o pieniądzach. Jakkolwiek jest to potrzeba chwili, która leży w interesie nas wszystkich.

Są też inne miejsca, którym w swej pracy poświęca Pan wiele czasu i uwagi. Zaliczają się do nich m.in. Brzeżany.

Rzeczywiście, to szczególne miejsce na mapie architektonicznych zabytków polskich na Ukrainie. Znajduje się tam wspaniały XVI-wieczny zamek Sieniawskich z bezcenną kaplicą zamkową, obecnie w stanie krytycznym. Znajdowało się w niej jedno z najwspanialszych mauzoleów rodowych. Na szczęście istnieje dość dokładna dokumentacja pochodząca z badań jeszcze przedwojennych. Jest to jedno z tych miejsc, do których musimy wejść z pracami konserwatorskimi. To ostatni moment. Jednak wcześniej potrzebni są specjaliści od statyki i konstrukcji. Zachowały się tam resztki dachów, popękane mury. Trzeba zatem rozpocząć prace od zespolenia murów i rekonstrukcji zaszczenia. Dopiero wtedy będziemy mogli rozpocząć konserwację sztukaterii na sklepieniach czy pozostałości alabastrowych nagrobków. Obecnie jest to miejsce spotkań młodzieży. Byłem kilka razy świadkiem, jak młodzi ludzie palili wewnątrz kaplicy ognisko. To, co jeszcze zostało na ścianach,

to przepiękne manierystyczne alabastrowe wykończenia nagrobków z pełnoplastycznymi figurami. Jest to nadal zabytek unikatowy. Alabaster i sztukaterie to bardzo kruche materiały i cud, że w tych warunkach jeszcze przetrwały. Brzeżany trzeba ratować!

Czy znajdują się na ten cel pieniądze?

Przypadek Brzeżan znany jest wszystkim zainteresowanym. Zawsze mówię o tej kaplicy osobom w miejscach, gdzie zapadają decyzje finansowe. Rozmowy jednak kończą się w momencie, kiedy należałoby mówić o pieniądzach. Nikt nie chce podjąć choćby słownego zobowiązania finansowego, bo znawcy wiedzą, że w grę wchodzi ogromne kwoty. Zatem w chwili obecnej nie widzę choćby nadziei na to, by znalazł się mecenas sztuki chcący ratować ten zabytek. A przecież odnowa zabytków kresowych jest naszym narodowym obowiązkiem. A Brzeżany są jednymi na liście. Jednak zestawienie zabytków wymagających przede wszystkim zabezpieczenia, a później konserwacji jest ogromna. Dość wymienić kilka najważniejszych: Podhajce – XV–XVII-wieczne unikalne późnogotyckie, z późniejszymi naleciałościami, kościelne założenie jest w katastrofalnym stanie. Jazłowiec – XVI-wieczne, ale jeszcze gotyckie założenie kościelne z nagrobkiem znanego kompozytora okresu Oświecenia Mikołaja Gomółki, nad którym sklepienie wytrzyma być może jeszcze parę lat. I cała masa innych, których wymienianie i opis zajęłyby nam wiele miejsca i czasu.



Janusz Smaza przy tablicy pomnika Piechurów Francuskich przed jej wmurowaniem. Fot. Dominika Paluch

Mówiliśmy o ratowaniu i konieczności interwencji konserwatorskiej w dużych założeniach architektonicznych. Czasami jednak podejmuje się batalie o ratowanie – wydawałoby się – drobiazgów. Mam tu na myśli płytę nagrobną ze Świrza, o której pisał też w Szwajcarii prof. Andrzej Żaki.

Tak, to dość znana sprawa. Jeździłem tam jeszcze nieoficjalnie. Kiedy kościół został przejęty przez cerkiew greckokatolicką, ta płyta – poświęcona XVII-wiecznemu humaniście Gabrielowi Świrskiemu, o dość sporych wymiarach: ok. 190x90x30 cm – została usunięta z wnętrza kościoła. Pierwotnie znajdowała się w posadzce nawy kościelnej, wówczas przysypanej rumowiskiem. Nowi użytkownicy kościoła zaczęli porządkować wnętrze, chcieli położyć nową podłogę i płyta im przeszkadzała. Wyrwali ją z posadzki i przetransportowali poza świątynię, uszkadzając przy tym w dość istotnym miejscu, które pozwoliłoby ją dokładnie datować. Początkowo świeże uszkodzenia były widoczne gołym okiem. Teraz, po trzech latach przetrzymywania jej „pod chmurką”, nie jest ono już widoczne. Oczywiście płyta nie mogła tak zostać, pozostawiona na pastwę losu, na wpływ niekorzystnej dla kamienia aury. Znalazłem nawet dla niej zastępcze miejsce, ale jej transport wymagałby nie lada przedsięwzięcia organizacyjnego – samochodu i dźwigu. Na szczęście udało się porozumieć z obecnym miejscowym proboszczem greckokatolickim i mieszkańcami, którzy nie widzą problemu, by płyta ponownie wróciła do kościoła. Zostanie zatem umieszczona w kruchcie kościoła i eksponowana będzie prawdopodobnie w pozycji pionowej. Zostanie to zrealizowane jeszcze w tym roku dzięki dotacji pochodzącej z Biura Pełnomocnika Rządu do spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Podziwiam Pana zapał i chęć ratowania polskiego dziedzictwa narodowego na Ukrainie. Polska nie zalicza się jednak do bogatych krajów. Nie udźwignie zatem finansowych kosztów zabezpieczenia tych cudów architektury. Tym bardziej, że strona ukraińska często szuka

pretekstów do utrudniania pracy polskim konserwatorom. Od lat obserwujemy to na przykładzie Cmentarza Orłąt we Lwowie. Jest to miejsce, któremu poświęcił Pan ogrom swej pracy i czasu. Jak zapamiętał Pan swą pierwszą wizytę w tamtym miejscu?

Jak każdy Polak, który trafił do Lwowa, pierwsze kroki skierowałem do katedry rzymskokatolickiej, a później na Cmentarz Łyczakowski i Cmentarz Orłąt Lwowskich. Wszyscy wiemy, jak wyglądało to miejsce. Rzeczywiście, dość wyraźnie pamiętam ten moment, kiedy z zaniedbanego, ale pełnego rzeźb Cmentarza Łyczakowskiego wkroczyłem na ruinę Cmentarza Orłąt. To był szok! Znałem ten cmentarz z przedwojennych fotografii, które pozwalały stwierdzić, iż mamy do czynienia z realizacją niemal doskonałego architektonicznego założenia cmentarnego. Pierwsza myśl, jaka mi wtedy przyszła do głowy, to, że tego już nie da się odbudować. Nieco później (tj. pod koniec 1997 r.) otrzymałem z Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa zlecenie na zdokumentowanie istniejącego stanu cmentarza, opracowanie wytycznych konserwatorskich i programów konserwatorskich i rekonstrukcyjnych. Założenie podstawowe to przywrócić cmentarz do kształtu sprzed 1939 roku i zapewnić maksymalną trwałość zabiegów. Te właśnie założenia stały się przyczyną opracowania takich, a nie innych metod i technologii, a także – niestety spornych i istotnych (jak na razie) „zawirowań politycznych”... Ale wróćmy do spraw technicznych: od strony konserwatorskiej surowiec, z którego wykonano większość elementów cmentarza – wapień z lokalnych złóż, jest materiałem bardzo porowatym, miękkim, łatwym w obróbce, ale mało odpornym na naturalne czynniki wietrzeniowe, tym bardziej mało odpornym na zanieczyszczenia środowiska miejskiego. Stąd na zachowanych fotografiach z okresu międzywojennego widoczne są już drobne zmiany wizualne – jeszcze nieszkodliwe, ale mało estetyczne. Trwałość naszych zabiegów zdecydowała o metodach rekonstrukcji, na przykład w przypadku brutalnie skutych płaskorzeźb aniołów z filarów katakumb czy resztek głowy lwa z sadzawki. W płaskorzeźbach o wymiarach 200x80 cm należa-

ło uzupełnić ubytki w postaciach (na całej ich wysokości) o grubości od 1 do 6 cm. Stąd przyjęta metoda: rekonstrukcja modelu na podstawie resztek oryginalnych fragmentów i zachowanej dokumentacji fotograficznej, a następnie przekopiowanie w takim samym materiale. Otrzymaliśmy w ten sposób wierne kopie. Niestety, na żądanie strony ukraińskiej musieliśmy skuć elementy wypełniające korony cierniowe, tj.: krzyże *Vir-tuti Militari*, Orła Białego i Obrońców Lwowa. O wiele bardziej skomplikowane były rekonstrukcje elementów całkowicie zniszczonych, np. rzeźb Piechura Francuskiego i Lotnika Amerykańskiego.

Gdzie te rzeźby zostały wykonane?

Zarówno modele, jak i rzeźby wykonano w Polsce. Modele gipsowe na podstawie dokumentacji fotograficznej wykonali pedagodzy Wydziału Konserwacji i Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, a rzeźby przekuto w wapieniu w zakładzie kamieniarskim w Daleszycach koło Kielc. Inne modele – przepiękne płaskorzeźby *putt* z gyzmsu katakumb, z których w oryginale przetrwało tylko jedno, częściowo uszkodzone, oraz model głowy lwa – wykonano na cmentarzu. Przekuwano je również w Polsce. Ale o zgodę na ich umieszczenie w odpowiednich miejscach strona polska bardzo długo się starała. Najgorsze jest to, że po częściowym ich montażu strona ukraińska domagała się demontażu. W pewnych momentach wstrzymywano nam całkowicie prace w katakumbach oraz na polach grobowych. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak potoczyłyby się losy odnowy Cmentarza Orłąt Lwowskich, gdyby nie upór i konsekwencja ministra Andrzeja Przewoźnika, który potrafi w najtrudniejszych chwilach przekonać stronę ukraińską o słuszności naszych działań.

Jak ocenia Pan miejscowych Polaków, którzy przeciw od początku czynnie towarzyszą odnowie tego cmentarza?

To jest wspaniała postawa! Powinniśmy się od nich uczyć patriotyzmu i oddania, z jakim oni pracowali i pracują przy ratowaniu Cmentarza Orłąt Lwowskich. Jest to nasz wspólny obowiązek, nasze wspólne dziedzictwo. Wśród Ukraińców, z którymi współpracujemy, też jest duże zrozumienie idei

odbudowy cmentarza, choć w odmiennym kształcie. Świetnie współpracuje się nam z ich przedstawicielami, m.in. inspektorem nadzoru budowlanego czy architektem miejskim Lwowa. To bardzo mądrzy i rozsądni ludzie. Natomiast komu zawdzięczamy te „zawirowania” – myślę, że wiemy wszyscy.

Kiedy nastąpi oficjalne otwarcie cmentarza?

Trudno mi przewidzieć. Na obecnym etapie porozumień prace na cmentarzu zostały zakończone (nie biorąc pod uwagę drobnych robót na zapleczu). Choć bardzo dużo jest jeszcze do zrobienia. Nadal nie ma zgody – jak wspominałem – na ustawienie rzeźb Piechura Francuskiego i Lotnika Amerykańskiego, nierozwiązany jest problem rekonstrukcji pozostałych napisów przy powyższych rzeźbach, a także na płycie pięciu nieznanymi żołnierzami poległymi na Persenkówce, czekają lwy.

Jest to zatem praca na długi jeszcze czas.

Strona polska jest gotowa zakończyć je w dość krótkim czasie. Potrzebne jest tylko zrozumienie i zgoda ze strony ukraińskiej.

A swoją drogą – kiedy Pan wypoczywa?

W międzyczasie...

Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę.

JANUSZ SMAZA, ur. 1956 w Wadowicach. Ukończył studia na wydziale Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki ASP w Warszawie. Dyplom 1984 w specjalności konserwacji rzeźby i elementów architektury, doktorat. Był kierownikiem katedry na ASP, obecnie jest kierownikiem Pracowni Techniki i Technologii Konserwatorskich tamże, rzeczoznawcą Ministerstwa Kultury i DN oraz członkiem międzynarodowej komisji ds. ratowania polskiego dziedzictwa narodowego poza granicami kraju. Ważniejsze realizacje: zespoły zabytkowych nagrobków na cmentarzach polskich i w innych krajach – w tym Cmentarza Orłąt we Lwowie, elewacje pałaców, wystrój archit.-rzeźb. sanktuarium na Jasnej Górze, prace przy zabytkach za wschodnią granicą – w tym kolegiaty w Żółkwi, udział w misjach archeologicznych i archit.-konserwatorskich w Egipcie i in. Autor wielu publikacji i ekspertyz.



Obrońcom Lwowa 1918

Pierwsi do krwawych zapasów stanęli,
pomknęli pierwsi do krwawej pogoni
i w lot orlece skrzydła rozwinęli,
na głos *DO BOJU!* śpiesząc w wir bez broni.

I nie zważali na zastępy zbrojne –
i nie strwożeni zawziętością wroga,
lotem się wznieśli w walk przeboje znojne,
służąc Ojczyźnie, walcząc w imię Boga.

Oni triumfu dzieło rozpoczęli,
te niezwalczone gniazd naszych *ORLETA*
i pod kobiercem ziemi tej spoczęli,
której broniła moc ich nieugięta.

Widzą, jak nowych szeregów zastępy
w Bolesławowych dróg wstępują szlaki
i rozpraszają w dal krwiożercze sępy,
blizin zdobywając chwalebne odznaki.

Na Wasze mogiły, OrleTA moje,
składam wspomnieniem mych uczuć wyrazy.
Wszak ja Was słowem gotował na boje,
podając wzniosłych wierzeń drogowskazy.

Dziś niechaj echo naszego pacierza –
gwiazdy przewodnie naszego Narodu –
chwałę i pokój nad Wami rozszerza,
i świeci Polsce z zachodu i wschodu!

W I E R S Z E

Ks. bp Władysław Bandurski

Poległych zew!

Dla Ciebie Polsko trud i czyny moje
I ran ofiarny zlew,
Przyszłych pokoleń dla Ciebie przeboje!
Tak brzmi poległych zew!

Od sennych mogił powiew życia płynie
Nad bohaterski gród,
W dal też krainy wzniosłe hasło słynie,
Walecznych wskresza ród.

I powiewnym tchnieniem Męczenników głosy
Testament głoszą krwi,
Gdy cześć wzbudzają całopalne stosy,
W nich noc zmartwychwstań tkwi.

Oni wzniecili skry ducha w Narodzie,
Krwia uświęcili broń,
I w niewstrzymanym szeregów pochodzie
Wrogą skruszyli dłoń.

„Ziemi Czerwieńskiej nie damy nikomu,
Lwów musi naszym być!
I założymy twierdzę w każdym domu,
W redutach będziem żyć!”

Potęgą słowa, wytrwaniem oręża
Chwały wskreszili cud,
Bo duchów męstwo wrogą moc zwycięża
Zwyciężył Polski lud!

I złotokręgi zdobyli wieczności
Szlakiem zwycięskich dróg
I tam odeszli, skąd losy przyszłości
Narodom kreśli Bóg!

My, którzy siejbę krwi Waszej zbieramy,
Dziś przysięgamy Wam:
Że ziemi naszej wrogom nie oddamy,
W czym Bóg wspomůže Sam!

P R O Z A

Janusz Majewski

W CZASIE WOJNY WE LWOWIE

W czasie wojny we Lwowie było nam ciężko. Kiedy weszli Sowieci, zwolnili z posad wszystkich wyższych urzędników państwowych. Mój ojciec zaczął się w restauracji swojego szwagra Alfonsa Gąsiorowskiego jako magazynier. Ta restauracja, prowadzona pod firmą „Głowik” przy ulicy Leona Sapiehy, naprzeciw Politechniki, cieszyła się sławą doskonałej kuchni, świetnym wyborem win, sprowadzanych bezpośrednio z Francji, i z tej racji – wielkim powodzeniem u profesorów sąsiadujących z nią uczelni. Cenili ją także studenci Politechniki (ich wyszywane czapki wtedy bardzo mi się podobały) za sprawą dobrego serca mojej ciotki Michaliny, która karmiła ich na kredyt za pół darmo. Wśród jej stałych gości był na przykład profesor Kazimierz Bartel, wykładowca geometrii wykreślnej, znany polityk – trzykrotny premier, senator RP, zamordowany potem z innymi lwowskimi profesorami przez hitlerowców na Wuleckich Wzgórzach. Zapamiętałem to, gdyż zarówno willa Bartla, na skraju Stryjskiego Parku, jak i Wulka były blisko naszego domu przy ul. Pochyłej 7 i leżały w obszarze moich dziecięcych zabaw, a także dlatego, że asystent i współpracownik Bartla, prof. Antoni Plamitzer, uczył mnie potem w Krakowie, na architekturze, tejże geometrii wykreślnej, która dla nas studentów była dość kosztowna.

Moskale albo *czubaryki*, jak Sowieci nazywał mój ojciec, naturalnie wprowadzili od razu swój porządek i upaństwowili, czy też uspołecznili restaurację wuja Fonsia. Znikli gdzieś dostawcy, zawalił się rynek, w miejsce tego pojawiła się reglamentacja, przydziały, kontrola receptur itd. Wujowi narzucono buchaltera, Ukrainca z Kijowa, który z miejsca zaczął uczyć mego ojca,

jak „zaopatrywać się” w towar, żeby można trochę ukraść dla siebie, jak sprzedawać własną wódkę, wprowadzoną poza księgowością, jak wyciągnąć strzykawką z każdej butelki 50 ccm wódki i dopełniać ubytek wodą. Ojciec wracał do domu wstrząśnięty i załamany. Komuś, kto zasiadał w radach nadzorczych banków i kas związkowych, nie mogło pomieścić się w głowie, że tak można postępować. Poszedł z tym do szwagra, którego wciąż uważał za właściciela *interesu*, jak wtedy mawiano, żeby naradzić się, co robić, a ten równie wstrząśnięty mówi, że Ukrainiec jego też uczy, jak ma okradać samego siebie! To, czego potem nauczyło się całe społeczeństwo od okupantów i rodzimych komunistów, że chodzi o jak największe oszukiwanie państwa, było absurdem nie do pojęcia dla tych patriotycznie wychowanych obywateli II Rzeczypospolitej, a wcześniej lojalnych poddanych Najjaśniejszego Pana Cesarza Franciszka Józefa, i całkowicie sprzeczne z ich systemem wartości. Ale – trzeba to przyznać uczciwie – te lekcje oszukiwania przydały się mojemu ojcu trochę później, za okupacji niemieckiej, kiedy wraz z kolegami z siatki akowskiej znaleźli sposób, aby niemieckie przekazy i paczki nadawane na lwowskiej poczcie zasiłały organizację, zamiast *Hausfrauen* w Rzeszy. Niestety mój cioteczny dziadek Kazimierz Jamrógiwicz, starszy rewident w urzędzie pocztowym przy ul. Kadeckiej, i jego woźny Cebula zapłacili za to życiem. Zginęli w Mauthausen.

Pierwsze miesiące sowieckiej okupacji przebiegały jeszcze w nastroju względnie spokojnym. Trwał naturalnie szok po tak szybko przegranej wojnie, gorycz z powodu bezsilności wobec przewagi Niemców i podstępnego ciosu w plecy, zadanego przez Moskali, ale okupanci jakby jeszcze nie zabrali się na dobre do roboty. Wszędzie był bałagan i dezorganizacja, za sowieckim wojskiem pojawiły się żony i rodziny oficerów i Lwów zaśmiewał się z *małanek* paradyjących po ulicach w koszulach nocnych, kupionych jako sukienki od zubożałych lwowskich dam i kurtyzan na słynnym targowisku, zwanym „na Krakowskim”, lub w lwowskim bałaku: „na Krakidafach”. Oficerowie z żonami zaczęli nagminnie zajmować *kwartiry* w prywatnych mieszka-

niach. Odbywało się to w sposób bardzo komunistyczny: ktoś dzwonił do drzwi, otwierano mu, wchodził oficer w czapce na głowie, za nim szła jego kobieta i ordynans niosący walizki. Bezceremonialnie oglądali mieszkanie i oficer pytał żony, w którym pokoju chce mieszkać. Trzeba przyznać, że zawsze zadawali się jednym, nie przychodziło im widać do głowy, że człowiek może mieć więcej pokoi. Na ogół też udawało się im wyperswadować, że lepiej im będzie w pokoju z osobnym wejściem niż w amfildowym.

Naszych pierwszych przymusowych lokatorów zapamiętaliśmy po wypalanej na parkiecie dziurze od prymusa i po kanapie, która, gdy wyprowadzili się zaledwie po paru tygodniach, wyglądała jak kopiec termitów w Afryce, z tym że termitami były pluskwy. Pan Żenczur, nasz dozorca, przy pomocy człowieka (ludzie, których najmowało się do jakichś doraźnych prac przy domu, byli zawsze nazywani „człowiekiem” lub „kobietą”) wyniósł z ogromnym obrzydzeniem kanapę do ogrodu, polał naftą i spalił, a mimo to długo jeszcze tępił pluskwy w domu.

Drugiego, kapitana, pamiętam z takiego epizodu: w naszej łazience na ścianie wisiał irygator, zwany *hegarem*. Nie wiem, czy była to nazwa lokalna, czy zaadoptowana, jak imię własne, marka wyrobu, jak *elektroluks* lub *rower*, ale tak mówili wszyscy we Lwowie, podobnie jak mówili na półbuty *meszty*, na szafkę nocną *nakastlik*, a na nocnik *nalik*. Hegar składał się z blaszanego naczynia emaliowanego na biało, w kształcie przepołowionego garnka, i dłu-

giej czerwonej gumowej rurki z czarną, bakelitową końcówką, zaopatrzoną w kurek zamykający lub otwierający przepływ wody z blaszanego rezerwuarku do... ludzkiego organizmu. Pewnego dnia nasz kapitan przychodzi z miasta do domu i już od progu pokazuje z dumą swój nabytek z Krakidaków: taką właśnie końcówkę hegara, którą trzyma w ustach i pali w niej papierosa, jak w cygarnicze. *Smatri malczyk* – mówi do mnie – *kakaja tiechnika, chcesz kurit’ – adkrywajesz, nie chcesz – zawierajesz*. Nie wiadomo, czy wcześniej nie zauważył hegara w łazience, czy nie wiedział, do czego służy, czy też nie skojarzył swego nabytku z tym urządzeniem. Tylko nasza Wikta chichotała zachwycona i snuła jakieś obrzydliwe hipotezy na temat handlarza, który zapewne sprzedał kapitanowi końcówkę irygatora – jej zdaniem używaną – z premedytacją. Matka ofuknęła ją zgorzozona i na wszelki wypadek irygator z łazienki usunęła.

To nowe zastosowanie irygatora było, widać, bardzo popularne wśród sowieckich oficerów, bo po latach spotkałem się z podobną anegdotą, opowiedzianą przez kogoś w jakichś lwowskich wspomnieniach, a dla mnie pointą tych irygatorowych opowieści było takie oto autentyczne zdarzenie: moi przyjaciele, bardzo kulturalne małżeństwo, poszukiwali kiedyś kawałka gumowej rurki, chyba do turystycznej kuchenki gazowej. Było to, rzecz jasna, w schyłkowych latach PRL-u, kiedy wszystko trzeba było zdobywać przedziwnymi sposobami. Kiedy na próżno obchodzili zdesperowani sklepy AGD i sportowe, ktoś doradził im, aby udali się do sklepu z artykułami medycznymi, tam rzekomo widział takie gumowe rurki na półce. Poszli więc do takiego sklepu i zapytali ekspedientkę, czy są gumowe rurki. Odpowiedziała z miejsca pytaniem: – *Do odbytu?* Ta obcesowość tak ich zmieszała, że tylko bez słowa przytaknęli i kupili spory kawałek rurki. Tu moja znajoma, nobliwa starsza pani, która mi to opowiadała, zawiesiła głos, aby po chwili powiedzieć: – *Niestety, w domu okazało się, że rurka jest do dupy*. Opowiedziałem kiedyś tę historyjkę Andrzejowi Szczepkowskiemu, wielkiemu smakoszowi żartów. Skomentował to ze szczerym zachwytem: – *Piękna konstrukcja!*



Ale wróćmy do Lwowa: nasz kapitan ze swoją praktyczną cygarniczką został gdzieś przeniesiony i z powodzeniem stosowaliśmy prosty sposób, aby uniknąć następnych na kwaterze: po prostu należało przetrzymać ich dzwonienie i walenie do drzwi, w końcu zrezygnowali i szli gdzie indziej. Pewnego popołudnia byliśmy w domu z siostrą tylko pod opieką naszej cioci-babci Jamrógiewiczowej. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Babcia na palcach podeszła do judasza, wyjrzała i zbladła: pod drzwiami stało dwóch sowieckich oficerów. Babcia wróciła do pokoju i nakazała nam ciszę. Dzwonki powtarzały się wielokrotnie, stawały się coraz dłuższe, ale dziwnie nienaturalne, raczej monotonne i nudzące. I wtedy babcia popełniła błąd: nie wytrzymała nerwowo i posłała mnie do przedpokoju, żebym przez zamknięte drzwi powiedział: – *Tawariszcz lejtnant, doma nikawo nietu. Papa i mama rabotajut.* Ledwie to wyjąkałem, rozpętała się burza. Sowietci zaczęli walić i kopać w drzwi, wrzeszczeć jak furjaci: *Adkrywaj dwieri, strielat' budiem!* Struchlała babcia wybiegła z pokoju i rozlatanymi rękami odrygłowała drzwi. Wtedy nastąpił cud: za progiem stali dwaj bardzo młodzi, sympatycznie uśmiechnięci chłopcy w polowych mundurach, obaj w randze podporuczników. Jeden z nich trzymał ogromne naręczce białego, tureckiego bzu, drugi butelkę *Sowieckoje Szampanskoje*. Pierwszy zasalutował, trzasnął szarmancko butami i powiedział do babci: – *Prastitie, madam, wam nužen spakoj, nam nużna kwartira. Pajdiot dagawarisia?* Babcia zaniemówiła i sama nie wiedziała, kiedy przyjęła od chłopaków bez i szampana.

Chłopcy okazali się zmobilizowanymi studentami, jeden medycyny, drugi malarstwa z Moskwy. Nazywali się Jasza i Grisza. Bardzo ich polubiliśmy, a ja i siostra wręcz za nimi przepadaliliśmy. Przynosili nam ogromne moskiewskie pralinki pakowane w sztywny, szary, niemal gazetowy papier – o nazwach zdumiewająco niedopasowanych do zawartości, jak *Czerwony kolejarz* albo *Zorze pionierskiego jutra* – a czasem nawet pomarszczone azjatyckie pomarańcze. Uwielbiali naszego szorstkowłosego teriera Dżoka i nauczyli go różnych sztuczek. Całkowicie zawojowali babcię, która

posyłała im do pokoju przez Wiknę kakao z bitą śmietanką i dopatrywała się w nich potomków arystokratycznych rodów, z czego tylko się śmiali, ale dość tajemniczo.

Potem zaczęło być już mniej śmiesznie: w zimie 1939/40 zaczęły się wywózki do Kazachstanu. Trudno było odgadnąć, jakim kluczem się kierowano. W nocy pod dom zajeżdżała ciężarówka z żołdatami i wygarniali z mieszkań, zaczynając zwykle od najwyższego piętra. Spaliśmy w ubraniach, a przy łózkach przygotowane były walizki z najpotrzebniejszymi rzeczami na drogę. I pewnej nocy stało się: zbudziły nas hałasy na schodach i brutalne walenie do drzwi. Ojciec błąd jak papier ruszył do przedpokoju. Wtedy ze swojego pokoju wyskoczyli Jasza i Grisza, na wpół ubrani, z pistoletami w rękach. Odsunęli ojca od drzwi: – *Prastitie gaspadin, zachaditie w komnatu.* Ojciec wycofał się do pokoju, ale nie zamknął za sobą drzwi. Zobaczyliśmy, jak Jasza z furją otwiera, a Grisza wyrzuca z siebie wiązanekę najbrutalniejszych wyzwisk, kierując ją pod adresem żołdata w szpiczastej czapce, z długim bagnetem na karabinie: – *Nu, sztoż ty, swołocz w żopu jobana, sztoż diełajesz? Ty ruskawo, sowieckawo aficira asmieliwajeszsia nocziu budi'?! Paszoł won durak, ubiju tiebja kak sobaku!* Żołdat struchlał i wyjąkał: – *Tak, toczno, towariszcz komandir.* W drzwiach pojawił się jakiś cywil w skórzanej kurtce i wyszmelcowanym kaszkiecie. – *W cziom dieło?* – zapytał. Żołdat wyprężył się i chciał zameldować, ale nasi chłopcy nie dali mu dojść do głosu. Wyzywając obu najgorszymi przekleństwami wypchnęli ich na schody i zatrasnęli drzwi. Tak oto dwaj młodzi, dobrzy Rosjanie uratowali nam być może życie, a w każdym razie wpłynęli na jego bieg.

Życie ludzkie przypomina jakąś grę planszową, co chwilę zatrzymujemy się na którymś polu i rzucamy kostkę: jeśli wyjdzie parzysta, to przesuwamy się do przodu i otrzymujemy premię, jeśli nieparzysta, musimy się cofnąć i przeczekać kolejkę. Ludzie, których spotykamy na naszej drodze, zawsze powodują jakieś zmiany w naszym życiu, zawsze na nasze życie jakoś wpływają. Gdyby Jasza i Grisza nie obrugali wtedy żołdata – mogli się nie obudzić, mogli inaczej zareagować, mogli przyjąć obojętnie nocne najście NKWD, mogli się

po prostu bać interweniować – pojechalibyśmy, jak tysiące, za Ural i albo byśmy przetrwali i wrócili po wojnie, albo – co prawdopodobne – wyszli z Rosji z Andersem i przedostali się do Stanów, do rodziny mojej matki i wtedy już naprawdę mogło by się potoczyć rozmaicie – gdybanie nie ma większego sensu. Ale nieraz myślałem o tych chłopcach: co się z nimi stało? Czy podzielili los tych milionów Rosjan, których pochłonęła wojna? Może poległ gdzieś w Polsce i prochy ich leżą pod jakimś pomnikiem, który potem nie z ich winy znieprawiliśmy, by go wreszcie zburzyć? A może dożywają swoich dni gdzieś w niespokojnej i rozdartej Rosji, która powinna być według nich inna, taka, o jakiej czasem napomykali w rozmowach z moją babcią, takiej, jaką można by sobie wyobrazić na podstawie ich dobroci, inteligencji, szlachetnych manier, ujmującego stylu bycia – całkiem odmiennego od tego, co było typowe wtedy i później.

Nie myślałem wtedy o filmie, *laterna magica* zapodziała się gdzieś, do kina rodzice nie pozwalali mi chodzić i chyba przez cały czas sowieckiej okupacji Lwowa rzeczywiście w nim nie byłem. Ale moje oko i pamięć cały czas rejestrowały wydarzenia, które zmieniały się w tempie dzisiejszego kina akcji. Chłopców pewnego dnia gdzieś przenieśli, ich pokój zajął starszy, cichy pan w mundurze pułkownika. Wychodził wcześniej, wracał późno, zawsze na palcach, bezszelestnie, jakby go nie było. Moja matka mówiła, że on ma takie smutne spojrzenie i musi być dobrym człowiekiem. Nie wiem, na ile była jeszcze pod wpływem wspomnienia Jaszy i Griszy, a na ile wynikało z jej wrodzonej dobroci i pewnej, związanej z tym naiwności – po wojnie to samo mówiła patrząc na portret Bieruta, czego już ojciec nie mógł ścierpieć i wyzywał go od enkawudowców i zdrajców Polski.

Któregoś wieczoru pułkownik delikatnie zapukał do naszego pokoju i wywołał ojca na korytarz. Wyszli do ogrodu, była ciepła czerwcowo noc, widziałem w mroku rozjarzające się i przygasające ogniki papierosów, które palił spacerując, krzaki przekwitłego już bzu tłumity ich głosy. Matka zażoniła nas do spania, ale zasypiając słyszałem niewyraźnie przez ścianę, że ojciec wrócił

i rozmawia z matką przyciszonym głosem. Wpatrywałem się w kreskę światła pod drzwiami sypialni rodziców i sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

Nazajutrz, 22 czerwca 1941, obudził nas ten sam odgłos nalotu *Stukasów* i to samo szczekające walenie artylerii przeciwlotniczej co 1 września dwa lata wcześniej – Niemcy uderzyli na ZSRR. Uciekliśmy do piwnicy, gdzie pan Żenczur urządził schron, zasłaniając okienka workami z piaskiem. Nie pamiętam już, czy trwało to dzień, czy parę, kiedy Niemcy zbliżyli się i weszli do miasta. Odgłosy dział ustąpiły kanonadzie karabinów maszynowych i broni ręcznej, dochodzącej gdzieś od strony dworca kolejowego. Ojciec powiedział, że rozpoczęły się już walki uliczne. Nagle usłyszeliśmy walenie kolbami w bramę i okrzyki: – *Adkrywaj, bystra, bystra!* Panu Żenczurovi ręce zaczęły się tak trząść, że nie mógł trafić kluczem do dziurki. Kiedy otworzył, wpadło kilku żołnierzy. Byli umorusani, spoceni, w rozpiętych mundurach, uzbrojeni w erkaemy. Mieli przerażone twarze ludzi ściganych. Jeden z nich wyciągnął pomietą kartkę i krzyknął: – *Gaspadin Majewskij gdzie? Majewskij!* Matka dopadła ojca gwałtownie, wołając: – *Nie idź, błagam!* Ojciec odsunął ją delikatnie i zrobił krok do przodu. Soldat poskoczył do niego: – *Gdzie kwartira pułkownika? Pakaży! Bystra!* Ojciec szybko ruszył schodami na górę, żołnierze pobiegli za nim. Wydawało się nam, że upłynęły godziny, zanim usłyszeliśmy tupot ich zbiegających po schodach. Po chwili ojciec błady, ale cały i zdrowy ukazał się w drzwiach piwnicy i powiedział cichym głosem: – *Pułkownik miał w szafie cywilny garnitur. Po to ich przysłał. Dałem im też napić się kompotu.* Kiedy potem rozmyślałem, co też mogło stać się z pułkownikiem – czy wtedy zdezerterował, czy może ukrył się i został po cywilnemu jako szpieg na tyłach niemieckiej armii – nigdy tego się nie dowiedzieliśmy – zawsze przypominał mi się ten kompot. Bo musiał to być wtedy, w czerwcu, kompot z wspinających lwowskich białych czereśni, słodkich i twardych, o miększu przypominającym jabłka, których już potem nigdy i nigdzie nie spotkałem. Każdego lata Wikta zastawiała wekami z czereśniowym kompotem całe półki, aby starczyło do wiosny. Taki kompot został we wrześniu trzydziestego dziewią-

tego całkowicie wypity przez spragnionych żołnierzy wycofującej się armii, pojonych przez Wiknę, która pilnowała mieszkania, gdy my, w Zaleszczykach, wahaliśmy się, czy przekroczyć most. I teraz, gdy mój wnuczek domaga się w lecie *Pepsi* lub *Ice-tea* żałuję, że nie mogę pójść do naszej przestronnej spiżarni w domu przy ulicy Pochylej, bocznej Kadeckiej, numer 7, pierwsze piętro, i przynieść mu stamtąd słoik tego niezapomnianego napoju.

Uliczne walki o Lwów trwały jeszcze dzień, nazajutrz do miasta wkroczyli Niemcy. Kiedy ustały już wszelkie wystrzały, wreszcie wyszliśmy z piwnicy. Pierwsze wrażenie było bardzo korzystne: ciągnęli ze śpiewem w górę ulicy Kadeckiej, na autach, motocyklach, chociaż widać było też sporo zaprzęgów konnych. Część z nich kierowano do koszar Korpusu Kadetów, większość podążała dalej, na wschód. Z samochodu amfibii jakiś mody oficer rzucił garść cukierków. Pożarliśmy je z chłopakami błyskawicznie, chwalać ich dziwny, ślazowo-miętowy smak. Jednego zaniósłem do domu siostrze i rozpętałem tym małe piekło. Ojciec był oburzony, że przyjęliśmy od wroga cukierki, matka wpadła w panikę, że są zatrute. Przypomniały się plotki z 39 roku, że Niemcy rzucali zatrute cukierki i wybuchające wieczne pióra z samolotów. Matka chciała posłać Wiknę do pana Szpaka, nauczyciela chemii w naszej szkole, żeby zrobił analizę cukierka, ale ojciec ją powstrzymał. Skończyło się na wmuszeniu we mnie litra mleka, jako odtrutki, oraz wyznaczeniu Wiky do pilnego obserwowania mnie aż do rana. Ponieważ nazajutrz wciąż żyłem, alarm odwołano, ale cukierek został zamknięty w kredensie, aby w razie czego był dowodem. Zdaje mi się, że wejście Niemców powodowało uczucia dość ambiwalentne: z jednej strony byli to nadal wrogowie i najeźdźcy, z drugiej wyzwalali nas od innych wrogów i okupantów, którzy, zwłaszcza przez wywózki i masowe aresztowania, szczególnie inteligencji, mocno dali się nam we znaki. Niemcy zresztą umiejętnie podsyćili antysowieckie nastroje we Lwowie przez ujawnienie potwornej katowni NKWD w więzieniu przy ulicy Łąckiego.

Sowieci przed ucieczką z miasta zdążyli tam wymordować wszystkich więźniów.



„Dom pod książką” bibliofila, senatora Aleksandra Semkowicza, róg ulic Kadeckiej i Pochylej

Dziedziniec, cele i korytarze więzienia były dosłownie zasłane ciałami ludzi, których zamknięto wyłącznie z motywów politycznych. Niemcy pozwolili Polakom zobaczyć efekty tego bestialstwa najpierw na żywo, a potem zdjęcia to ukazujące opublikowali w gazetach, które wkrótce zaczęły się ukazywać. Kiedy we wrześniu zacząłem znów chodzić do mojej szkoły im. Marii Magdaleny, wciąż jeszcze na ulicy Łąckiego, która była w pobliżu, czuć było straszny, trupi odór. Sądzę, że Niemcy po to właśnie przez kilka dni nie pozwalali pogrzebać zwłok, a czerwiec był upalny. Natomiast z innego więzienia, popularnych *Brygidek*, Sowieci wypuścili wszystkich kryminalistów, co dało się niebawem odczuć wzrostem kradzieży i włamań w mieście, ukróconych zresztą niedługo przez sprawną niemiecką *Kripo* (policję kryminalną).

* * *

Cztery lata później

Tymczasem miasto musiało przeżyć kilka bardzo ciężkich nalotów sowieckich bombowców. Po raz pierwszy Sowieci przyłecili późnym wieczorem w Wielkanocną Niedzielę, 9 kwietnia. Nagle zawyły syre-

ny, jakby zaskoczone w ostatniej chwili, bo niemal natychmiast zrobiło się jasno, jak w dzień, od zrzucanych na spadochronach oślepiających *flar* i usłyszeliśmy kanonadę dział przeciwlotniczych, a po chwili straszne detonacje jakichś niezwykle ciężkich bomb. Zbiegliśmy natychmiast do schronu i słuchaliśmy, jak te wybuchy coraz to zbliżają się do nas, bo w pobliżu było kilka obiektów wojskowych, jak chociażby dawne koszary Korpusu Kadetów, gdzie stacjonował Wehrmacht, lub wspomniani II Dom Techniczny, zajęty przez Luftwaffe. Rzeczywiście gruchnęło coś tak potężnie, jakby bomba spadła na nasz dach, a potem już zdawało się, że wybuchy zaczęły się stopniowo od nas oddalać, nalot jednak nadal trwał. Samoloty nadlatywały, zrzucały bomby i odlatywały, ale na ich miejsce przylatywały następne. Wydawało się, że nigdy się to nie skończy. W istocie, nalot trwał pięć godzin! (od 20.45 do 2.05 – znalazłem te dane w świetnie udokumentowanej książce Grzegorza Hryciuka *Polacy we Lwowie 1939–1944*). Na drugi dzień oglądaliśmy ogromny lej na pustej parceli nieopodal nas. Zastanawialiśmy się, dla kogo była przeznaczona bomba, która go pozostawiła, i co zmieniło to jej przeznaczenie. Tydzień później (17 i 18 kwietnia) naloty powtórzyły się, może z mniejszą siłą, ale siejąc dalsze spustoszenia w mieście. Było bardzo wiele ofiar wśród ludności cywilnej, podobno jedna bomba trafiła w getto na Zamarstynowie, a obiekty niemieckie dziwnym trafem trwały nienaruszone. Ludzie zaczęli się zastanawiać, czy to przypadek, czy celowe działanie, a jeśli tak, to co miało na celu?

Wtedy to właśnie w naszym domu doszło do wydarzenia, które odsunęło w cień te rozważania. Było koło pierwszej w południe, chyba we środę 19 lub w czwartek 20, bo na pewno po tych dwóch sowieckich bombardowaniach, kiedy nagle do domu wpadł ojciec, błąd jak papier. Powiedział do matki, już nie krępując się moją i siostry obecnością: – *Wpadliśmy. Gestapo aresztowało dzisiaj już sześć osób z naszej komórki. Znalazłem ciężarówkę. Kierowca zgadza się wziąć tylko po jednej walizce na głowę. Mamy pół godziny. Pakujcie się, może się uda. Pół godziny później rodzice i my dwoje, z czterema wali-*

zami zapakowanymi chaotycznie i bez planu, opuszczaliśmy Lwów na platformie ciężarówki niemieckiej Organisation Todt, z zamiarem dotarcia do małej wioski Pantalowice po Przeworskiem, gdzie wuj mojej mamy był proboszczem. Kierowca ciężarówki, Austriak z Wiednia, widać bardziej sobie cenił amerykańskie dolary, które za to od nas dostał, niż wierność ideom Fuehrera. Pamiętam, że kiedy wyjeżdżaliśmy, miasto było całe udekorowane niemieckimi flagami, musiało to mieć związek z obchodzonymi właśnie 20 kwietnia urodzinami Hitlera. Kończył 55 lat i miał przed sobą jeszcze jeden najcięższy rok i parę dni, zanim odebrał sobie życie w berlińskim bunkrze. Ta okoliczność nam sprzyjała, bo zajęci przygotowaniami do świętowania Niemcy nie byli drobiazgowi przy sprawdzaniu papierów. Ojciec miał przy sobie jakieś fałszywe *Urlaubsbescheinigung* (zaświadczenie o urlopie) z Dyrekcji Deutsche Post Osten, gdzie pracował i konspirował. Mam je jeszcze w swoim archiwum, jest podpisane nieczytelnym gotykiem przez jakiegoś niemieckiego urzędnika. Nigdy się już nie dowiem, czy podpis był sfalszowany, czy zaświadczenie wystawione *in blanco*. A może ów Niemiec chciał świadomie ratować ojca?

Opuszczaliśmy Lwów, patrząc przez szpary plandeki na znajome ulice, na których zaczynały się już zielenić krzewy i drzewa, jakby przygotowując nas na spotkanie ze wsią, może dodając nam otuchy przy pożegnaniu jego starych murów. Nie wiedzieliśmy, że opuszczamy nasze miasto na zawsze.

JANUSZ MAJEWSKI, ur. 1931 we Lwowie, uczęszczał do Szkoły Powszechnej im. św. Marii Magdaleny. Od 1944 w Krakowie, tu ukończył Gimnazjum i Liceum im. J. Sobieskiego (matura 1949) oraz studia architektoniczne na Politechnice Krakowskiej. W latach 1955–59 studiował w Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi. Jako reżyser jest autorem filmów: *Zazdrość i medycyna* (wg powieści M. Choromańskiego, 1973), *Zakłęte rewiry* (wg H. Worcella, 1975), *Lekcja martwego języka* (wg A. Kuśniewicza, 1979), *Zbrodniarz, który ukradł zbrodnię* i *Album Fleischera* (oba wg K. Kąkolewskiego), *Lokis, CK Dezerterzy* (3 części), *Królowa Bona* (serial TV) i szeregu innych.

SYLWETKI

HARCERKI PORTRET WŁASNY

Wspomnienia druhów Nartowskiego i Podusowskiego, przedstawione przez nich samych na jednym ze spotkań naszego Towarzystwa w kapitularku oo. Dominikanów o udziale drużyn harcerskich II Rzeczypospolitej w obronie Lwowa w 1939 r., ożywiły wspomnienia moich własnych przeżyć.

W 1938 r. zapisałam się na I rok studiów Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie i równocześnie do żeńskiej drużyny harcerskiej przy AHZ. W roku akademickim 1938/39 uczestniczyłam w zbiórkach i spotkaniach – niewiele z nich pamiętam. Nie zapomniałam jednak wydarzeń z września '39.

W ostatnich dniach sierpnia druh Kazimierz Seko powiadomił nas o sytuacji politycznej grożącej Polsce wybuchem wojny z Niemcami i w związku z tym o potrzebie włączenia się naszej drużyny w obronę Lwowa. Zgłoszenia do służby w obronie przeciwlotniczej, zlokalizowanej w koszarach przy ul. Teatyńskiej, były dobrowolne. Zgłosiłam się natychmiast. W rodzinie wszyscy zdolniejsi do jakiegokolwiek wysiłku walczyli o wolną Polskę i polski Lwów w latach 1914–1920.

Do 1930 r. mieszałam w koszarach przy ul. Kurkowej 12, gdzie mieściło się DOKP VI, miejsce pracy mojego ojca. Moje dzieciństwo – nie tylko moje, ale i innych dzieci koszar – to była fascynacja wojskiem, zbiórkami, marszami i musztrą, defiladami i paradami wojskowymi. W latach 1930–38 byłam uczennicą Państwowego Gimnazjum im. Franciszka Karpińskiego w Śniatynie i równocześnie harcerką drużyny żeńskiej im. Emilii Plater. Drużyna propagowała ruch harcerski, Rada Drużyny przygotowywała program wdrażania ideologii harcerskiej oraz plany prac dla zastępów. Instruktorzy prowadzili wykłady terenoznawcze, kursy

samarytańskie, ogrodnicze oraz z dziedziny gospodarczej. Drużyna brała udział we wszystkich uroczystościach szkolnych, kościelnych, państwowych, ale też opiekowała się ubogimi dziewczętami.

Naszym zadaniem była opieka nad grobami poległych w walkach o niepodległość Ojczyzny. Podczas wojny polsko-ukraińskiej w szpitalu śniatyńskim zmarło 16 ciężko rannych jeńców – Orłat Lwowskich, którzy zostali pochowani w dwóch wspólnych grobach.

Z tym bagażem rodzinnych tradycji oraz patriotycznego wychowania harcerskimi przyrzeczeniami, które najdobitniej wyraził słowami Władysław Bełza w harcerskiej pieśni –

*Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Oto w twą służbę wchodzi hufiec nasz.
Od lat najmłodszych do późnej siwizny
Pragnie przy tobie czujną trzymać straż.*

– znalazłam się w koszarach przy ulicy Teatyńskiej.

Służba w obronie przeciwlotniczej zobowiązywała do: 1) odbioru meldunków telefonicznych o zbliżaniu się i przelotach nieprzyjacielskich samolotów w obrębie województwa, 2) bezwzględnego przekazania treści meldunków do dyżurki oficerskiej, 3) pracy na zmiany, raz dzienną, raz nocną. Pracowałyśmy na parterze przy kilkunastu stolikach, obok pokoju, w którym bez przerwy oficerowie pełnili swoje dyżury. Dojście do koszar na ul. Teatyńską z ul. Modrzejewskiej, gdzie wtedy mieszałam, nie było uciążliwe w dzień, ale przejście przez zaciemniony Lwów na drugi koniec miasta na nocną zmianę niejednokrotnie odbywałam z duszą na ramieniu.

Wyposażona w służbową maskę gazową, nosiłam ją zgodnie z zaleceniem stale u boku – w pierwszych dniach września z dumą, która była dowodem mego zaangażowania, jednak później z rosnącym uczuciem obawy. Z okresu tego wędrowania utrwaliły się w mojej pamięci pierwszy niemiecki nalot 1 września około 10 rano, potem – na przelomie pierwszej i drugiej dekady września – ostrzał artylerii niemieckiej z okolic ul. Grochowskiej, płonące zakłady Baczewskiego z luną rozświetlającą ulice i horyzont, a nadto lęk przed „piątą kolumną” – Ukraińcami. Ci działali zorgani-

zowani od pierwszych dni agresji niemieckiej. Na ul. Modrzejewskiej wykryto i zlikwidowano ukraińskie stanowisko sygnalizacyjne na dachu kamienicy. Lustrami określali położenie obiektów strategicznych, jak np. lotnisko, dworzec, koszary.

Służbę w obronie przeciwlotniczej pełniłam do rana 13 września. Odeszliśmy z koleżanką Anną Skibówną ostatecznie. Silny ostrzał artylerii niemieckiej uniemożliwił mi powrót do domu, zamieszkałam więc czasowo u Hani. Na moją ulicę dostałam się w dwa dni potem. W tydzień później ulicą Szymonowiczów przez dwa dni maszerowały już regularne oddziały piechoty i wojsk zmotoryzowanych armii sowieckiej. Ojczyzna i Lwów rozpoczynały wędrówkę w podziemie i na emigrację.

Pozostałe egzaminy z I roku studiów zdawałam w październiku. Wyniki egzaminów prof. Ruziewicz i Samolewicz wpisali mi już w języku ukraińskim. Z końcem roku 1939, a może początkiem następnego, dokładnie nie pamiętam, zostałam skreślona z listy studentów uczelni na skutek zbyt częstych nieusprawiedliwionych absencji. Nie było już w moich planach kontynuowanie nauki na tej uczelni. Ojciec, uprzedzony o deportacjach wcześniej rejestrowanych oficerów, nie wypełnił nakazu rejestracji, a ponadto poszukiwany jako były starosta śniatyński uznał za stosowne zniknąć wraz z rodziną z terenu Lwowa i *radiańskiej* Ukrainy. Dzięki pomocy księdza z kościoła św. Marii Magdaleny i innych życzliwych znajomych, dostaliśmy się jako uciekinierzy do Krakowa.

Po zakończeniu wojny kontynuowałam studia ekonomiczne na Akademii Handlowej w Krakowie oraz rozpoczęte w czasie okupacji niemieckiej na tajnych kompletach studia prawnicze na UJ. Ukończyłam oba fakultety w 1947 roku.

Nieznany mi jest los harcerek z AHZ. Utrzymuję natomiast kontakt z żyjącymi harcerkami ze Śniatyna. Wiele dziewcząt z tej drużyny zostało zamęczonych w więzieniach i wywiezionych do łagrów sowieckich, przetrzymywanych w więzieniach i niemieckich obozach koncentracyjnych. Zapisaly piękną kartą historię drużyny, a ich postacie żyją w naszej pamięci niezmiennie.

Janina Maria Iskrzycka
z d. Wieser

Z TAMTEJ STRONY

Wydarzenia

◆ W CL 3/01 wspominaliśmy o **poświęceniu przez Ojca Świętego we Lwowie korony dla obrazu Matki Bożej Nieustającej Pomocy z Mościsk**. Obraz ten został



Matka Boska Mościska

srowadzony do tamtejszego kościoła oo. Redemptorystów przez Sługę Bożego o. Bernarda Łubieńskiego w 1883 r. z Rzymu. Od samego początku cieszył się on w Mościskach szczególnym kultem. W 1945 r. został wywieziony do Krakowa, a od 1968 r. był wystawiony w kaplicy seminarium Redemptorystów w Tuchowie. Po półwieczu, w 1996 r., powrócił do Mościsk.

Bardziej szczegółową relację o uroczystości w Mościskach przedstawimy w następnym numerze. O oo. Redemptorystach w Mościskach i SB Bernardzie pisaliśmy już w CL 1/97.

◆ W rozmowie z pp. K. Strzelecką i M. Walczewską, zamieszczoną w CL 3/01, padło pytanie o **relikwiarz bł. Józefa Bil-**

czewskiego. Dowiedzieliśmy się, że puszcza z relikwiami Arcybiskupa została umieszczona w cokole Jego pomnika (patrz zdjęcie) w kaplicy pw. Chrystusa Ukrzyżowanego w lwowskiej Katedrze, w czasie gdy pomnik ten przed II wojną stawiano. Zaraz po wojnie – wobec niepewności co do dalszych losów świątyni – puszkę wyjęto i schowano. Obecnie relikwiarz Błogosławionego wraca na stare miejsce.

Przy okazji pokazujemy również zdjęcie relikwiarza bł. Zygmunta Gorazdowskiego, umieszczonego na ołtarzu w kaplicy pw. Jezusa Miłosiernego i MB Nieustającej Pomocy w Katedrze. Relikwiarz ten znamy z pokazu w Krakowie (patrz CL 3/01).

◆ **Tegoroczna powódź** dała się też we znaki we Wschodniej Małopolsce. Najbardziej ucierpiały powiaty turczański i samborski. Wody rozmyły wiele dróg i 300-metrowy odcinek linii kolejowej. Zginęły dwie osoby.

POLACY z POLAKAMI

Do zapamiętania

◆ „Sokół” krakowski zaprosił jak co roku młodzież zza wschodniego kordonu na dwutygodniowy integracyjny obóz sportowy (sportowo-językowy) w Tyliczu k. Krynicy. Przyjechały 15-osobowe grupy z **Żydacz-**



Młodzież z Nadwórnej i Żydaczowa z kolonii w Tyliczu na wycieczce w Nowym Sączu. Pośrodku Edward Adles, wiceprezes oddziału krakowskiego TMLJKPW

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

KORZEC

Położenie. Miasteczko w pow. rówieńskim, woj. wołyńskim, na starym trakcie z Wołynia na wschód, a w latach międzywojennych w odległości 2 km od granicy polsko-sowieckiej. Liczył wtedy ok. 5000 mieszkańców. Korzec leży na wyżynie wznoszącej się nad jarem utworzonym przez rzeczkę Korczyk, dopływ Słuczy. W miasteczku działała cukrownia „Korzec”, własność rodziny Potockich.

Historia. Stara miejscowość, znana od XII w., należała pierwotnie do księstwa halicko-włodzimierskiego. W XIV w. Korzec został włączony do Wielkiego Księstwa Litewskiego i nadany Teodorowi Ostrogskiemu, a następnie ks. Dymitrowi Butawowi, od którego wywodzi się ród książąt Koreckich, zasłużonych w obronie tych ziem przed Tatarami. W 1569 r. na mocy postanowień Unii Lubelskiej Korzec został przyłączony do Korony. Bogusz Korecki, wojewoda wołyński, wznosił w Korcu zamek obronny, powiększony i umocniony w XVI w., a przebudowany w XVII w. na barokowy pałac. Koreccy zbudowali pierwszy kościół w 1533 r., uległ on jednak kilkakrotnym przebudowom. Ostatnim z rodu książąt Koreckich był Samuel Karol, starosta rybczycki, a po jego śmierci w 1651 r. majątek przeszedł na Leszczyńskich, potem na Czartoryskich. Włość korecka obejmowała 2 miasta i 57 wsi.

Szczególnie zasłużony dla Korca był ks. Józef Czartoryski, który w końcu XVIII w. uczynił zeń jedno z najbardziej uprzemysłowionych i najpiękniejszych miast Wołynia. Na przedmieściu Józefin założył sławną fabrykę porcelany, do której sprowadził z Sevres w 1780 r. Francuzów Franciszka i Michała Mezerów. Fabryka zatrudniała do 1000 pracowników, a jej wyroby – *porcelana korecka* – stały się w Polsce poszukiwane. Fabryka spaliła się w r. 1797. Poza wymienioną, Czartoryski założył fabrykę mebli oraz fabrykę pasów kontuszowych, zwanych *koreckimi*.

Miasteczko zostało zaplanowane przez Józefa Czartoryskiego na założeniu francuskim,

wa, gdzie w organizacji jest gniazdo sokol-
skie, oraz z **Nadwórnej**, gdzie gniazdo ta-
kie może powstanie, a także kilkusobowa
grupa dzieci spod Żytomierza. Sponsorem
obozu była krakowska Wspólnota Polska,
a do organizacji włączył się oddział TMLiKPW
z Krakowa. Z gośćmi spotkał się dr Jerzy
Masior, prezes nowosądeckiego oddziału
Towarzystwa. Wszystkim dziękujemy!

◆ W Krakowie bawiły tego lata dwie grupy
młodzieży polskiej z Małopolski Wschodniej.
Pierwsza – pod hasłem „Podarujemy dzieciom
lato”, zaproszona przez **Stowarzyszenie
Gmin i Powiatów Małopolski**, którego pre-
zesem jest Kazimierz Barczyk – liczyła 70
dzieci i młodzieży ze Lwowa, Żółkwi, Mościsk
i Czerwonogrodu. Jedną z 6 opiekunek była
dobrze nam znana p. Zosia Iwanowa. Druga
grupa to dzieci z Borszczowa i okolicy (woj.
tarnopolskie, w krakowskiej prasie mylnie po-
dano, że były to dzieci z Zaleszczyk). Ich
pobyt w Krakowie został zorganizowany
przez oo. Marianów i Koło Zaleszczykowiec
przez TMLiKPW w Krakowie.

◆ Grupa działaczy TMLiKPW z Gniezna
odwiedziła w czerwcu Strzelczyńska i Kryso-
wice, którymi ten oddział od dawna się opie-
kuje. Przywieźli, jak corocznie, zaproszenie
dla dzieci polskich na wakacje w RP, a po-
nadto, wśród darów, dwa piękne ornaty **dla
kościoła w Kryslowicach**, wykonane przez
uczennice Technikum Odzieżowego w Gnieź-
nie Małgorzatę Bartczak i Annę Lewandow-
ską pod kierunkiem p. Elżbiety Sekulskiej. List
z Gniezna opublikowaliśmy w CL 3/01.

◆ Polacy z Małopolski Wschodniej brali
udział w tym roku w następujących impre-

zach, zorganizowanych przez krakowski
oddział Wspólnoty Polskiej (a to jeszcze nie
koniec roku!):

- w styczniu, jak co roku, kurs wyrównaw-
czy dla młodzieży maturalnej z Mało-
polski Wschodniej i Ukrainy,
- w lutym *warsztaty* języka polskiego dla
studentów filologii polskiej z państwa
Ukraina; udział wzięły 33 osoby, w tym
z Drohobycza, Stanisławowa, Ostroga,
- w lipcu *szkoła letnia* dla studentów;
wśród 33 osób była młodzież z Lwowa,
Drohobycza, Stryja,
- w lipcu *szkoła letnia* języka i kultury pol-
skiej dla dorosłych; były 34 osoby, w tym
ze Lwowa i Stryja,
- w lipcu sfinansowano *obóz sportowo-ję-
zykowy* w Tyliczu – o tym napisaliśmy
wyżej,
- w lipcu i sierpniu dofinansowano *oazę*
w Dolinie – dla dzieci i młodzieży z ob-
szaru archidiecezji lwowskiej, organizo-
waną przez proboszcza dolińskiego,
ks. K. Panasowca; udział wzięło na kil-
ku turnusach 260 osób.
- w lipcu i sierpniu dofinansowano *kolo-
nie społeczne*, organizowane również na
terenie Małopolski Wschodniej: w Ja-
złowcu dla 80 dzieci z Czerniowiec (na
2 turnusach, organizowały ss. Urszulan-
ki), w Modryczu k. Truskawca dla 52
dzieci z Sambora oraz półkolonie w Ła-
nowicach i Sąsiadowicach k. Sambora
dla łącznie 55 dzieci (organizowało Tow.
Kultury Polskiej ZL w Samborze),
w Schodnicy k. Truskawca dla 50 dzieci
(na 2 turnusach, organizowało TKPZL
w Truskawcu),
- w sierpniu *obóz historyczno-krajoznaw-
czy*; na 21 osób dwie były ze Lwowa.

◆ Przed przyjazdem Papieża do Kijowa
zorganizowano tam w czerwcu cykl spotkań
i imprez, przygotowujących tamtejszych
katolików do tego wydarzenia. W ramach
tych przygotowań wystąpił w Kijowie **Chór
„Organum”** z Krakowa, pod dyrekcją Bo-
gusław Grzybka. Wyjazd sfinansowała kra-
kowska Wspólnota Polska.

◆ **Na stażach zawodowych i naukowych**
przebywają w Krakowie młodzi Polacy ze
Lwowa, Stanisławowa, Stryja, Nadwórnej,
Łucka. Koszty pokrywa Wspólnota Polska.



W Krakowie i dalej

ROPWiM W NOWYM SKŁADZIE

Premier J. Buzek powołał nowy skład Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa na czteroletnią kadencję 2001–2004. Do Rady weszły 33 osoby. Wymieniamy niektóre z nich.

Przewodniczącym został **Władysław Bartoszewski** (79 lat), dotychczasowy minister spraw zagranicznych RP, wiceprzewodniczącym **Stanisław Mikke** (54 lata), prawnik. Sekretarzem generalnym jest nadal **Andrzej Przewoźnik** (38 lat), z wykształcenia historyk, z urodzenia i wykształcenia krakowianin. Członkami Rady są: **Tomasz Gąsowski** (54 lata), historyk, pracownik naukowy UJ, **Jan Nowak-Jeziorański** (87 lat), b. dyrektor Radia „Wolna Europa”, mieszka w USA, **Ryszard Kaczorowski** (82 lata), b. prezydent RP na uchodźstwie, mieszka w Londynie, **Andrzej Kamiński** (57 lat), z zawodu lekarz, prezes Zarządu Głównego TMLiKPW, **Olga Krzyżanowska**, z zawodu lekarz, b. posłanka UW, **Stanisław S. Niciejka** (53 lata), profesor i rektor Uniwersytetu Opolskiego, autor książek i publikacji o Lwowie, **Tadeusz Rawski**, historyk wojskowości, profesor, ukończył Wyższą Szkołę Techniczną we Lwowie, **Jerzy Ślaski** (77 lat), wychowanek Korpusu Kadetów we Lwowie, redaktor. W Radzie zasiada dwóch księży. Trzynastu członków to kombatancki II wojny, sybiracy, więźniowie obozów.

Bardziej szczegółowe życiorysy wszystkich członków Rady publikuje nr 1–2/01 biuletynu ROPWiM „Przeszość i Pamięć”.

W tym samym grubym (156 stron) numerze znajdujemy informację o wizytacji prac przy rekonstrukcji Cmentarza Orłąt przez min. A. Przewoźnika, dra A. Kamińskiego i autora projektu odbudowy arch. J. Skrzypczyka w sierpniu br. (okładkę numeru zdobi aktualne zdjęcie Cmentarza). Ponadto: list ZG TMLiKPW zapraszający

z ośmiobocznym rynkiem pośrodku. Jednak w XIX w. założenie zostało zniekształcone przez chaotyczną i bezstylową zabudowę żydowską. Pałac w Korcu, przebudowany przez ks. J. Czartoryskiego w końcu XVIII w., spłonął w 1832 r. i nie został odbudowany. Po śmierci J. Czartoryskiego podzieliły się Korcem jego dwie córki, Potocka i Jabłonowska. Po powstaniu listopadowym połowa należąca do Potockich została skonfiskowana przez rząd carski, a druga połowa do końca XIX w. pozostawała w rękach Jabłonowskich i Mołodeckich. W latach międzywojennych majątek był własnością rodziny Bnińskich.

Korzec, położony w żyznej okolicy, był w XIX w. skupiskiem bogatych kupców zbożowych i drzewnych, którzy budowali sobie okazałe domy. Siedziba rodziny Herensteinów, złożona z kilku pałacyków, miała charakter pańskiej rezydencji. W mieście znajdowało się wtedy kilka garbarni, młyn parowy, browar, gorzelnia, fabryka miodu. Najbliższa okolica słynęła z sadów. W 1889 r. wielki pożar strawił w mieście paręset domów.

Zabytki. Z pałacu pozostały ruiny z wysoką wieżą z bramą wjazdową. Poniżej pałacu zachowały się stare mury zamku. Pałacyk ks. Józefa Czartoryskiego z 1788 r. zamieniono w XX w. na szkołę.

Barokowy kościół z klasztorem franciszkanów z 1620 r. fundacji ks. Karola Koreckiego, przebudowany w XVIII w. W 1832 r. podległ kasacji i został przerobiony na cerkiew prawosławną w stylu bizantyjskim. Cerkiew parafialna pw. św. Mikołaja w stylu *empire*, zbudowana w 1836 r. przez Czartoryskich dla ocalenia kościoła od kasaty. Dwie cerkwie z XVIII w. Klasztor pobazyliński z XVII w.

Kościół farny pw. Wniebowzięcia NPM, usytuowany na przedmieściu Nowy Korzec, pochodzi z 1706 r., zbudowany na fundamentach pierwotnego (fundowanego w 1533 r. przez ks. Karola Koreckiego). Jest to obiekt barokowy, bez wieży, z ośmioboczną, wysoką kaplicą, rozbudowany z pocz. XX w. W kościele znajdował się cudami słynący obraz św. Antoniego. Kościół zamknięty w r. 1966. W latach 1946–58 dojeżdżał tu z Równego o. Serafin Kaszuba, kandydat do chwały ołtarzy.

Przy kościele znajduje się pomnik i cmentarzyk żołnierzy polskich z 1920 r. Na cmentarzu zbiorowa mogiła żołnierzy oraz grób Szwajcara, pułkownika WP Buola z 1920 r.

Obok kościoła zachowały się dawne wały miejskie. Rynek z przyległymi ulicami pochodzi z 2. poł. XVIII w.

min. Przewoźnika do Komitetu Honorowego uroczystości 60. rocznicy kaźni Profesorów Lwowskich na Wulce, wraz z wystawą *Leopolis docet...* W numerze jest też list 83-letniej córki zamordowanego przez sowietów w 1939 r. burmistrza Żurawna Mieczysława Niepokulczyckiego, która opisuje dramat swojej rodziny. (Red.)

KSIĄŻĘ KARDYNAŁ I JEGO RÓD

Z okazji 50. rocznicy śmierci kardynała Adama Stefana Sapiehy w „Dzienniku Polskim” 170/01 P. Stachura rozmawia z ks. Jackiem Czajkowskim o wielkim księciu-arcybiskupie, który na krakowską stolicę biskupią przybył z archidiecezji lwowskiej oraz we Lwowie odebrał wykształcenie i formację.

W interesującym wywiadzie, omawiającym m.in. najciekawsze lata międzywojenne (w tym konflikt o pochówek Marszałka Piłsudskiego na Wawelu), wojenne i wczesne powojenne, znajdujemy niestosowne sformułowanie – że Sapieha *po ukończeniu lwowskiego seminarium trafił jako wikary do Jazłowca, małej miejscowości na Ukrainie*. Nie wiemy, ile lat ma ks. Czajkowski, ale wypadłoby wiedzieć po pierwsze, gdzie leży Jazłowiec i że o Ukrainie się tam wtedy nie śniło (czy przez analogię możemy powiedzieć, iż w pierwszych latach tego wieku ktoś trafił np. *do Szczecina w Polsce?* Byłby to absurdalny anachronizm, a w wywiadzie mamy do czynienia prawdopodobnie z historykiem...). Po drugie: Jazłowiec był wtedy nie tylko małą miejsco-

wością, ale znanym już sanktuarium MB Jazłowieckiej. Czegoś więc zabrakło.

Obaj panowie ponadto rozważają, w jaki sposób *litewsko-ruski* ród Sapiehów znalazł się w Galicji (uściślijmy: w Krasiczynie, w województwie lwowskim, obecnie *podkarpackim*). Trzeba im więc przypomnieć, że wtedy – na początku XIX wieku (i dużo wcześniej) Sapiehowie od dawna byli rodem polskim – o korzeniach litewsko-ruskich. Historyk i dziennikarz powinni te *subtelności* wyczuwać.

Barbara Barta

II ZJAZD POLONII I POLAKÓW Z ZAGRANICY

Na przełomie kwietnia i maja odbył się – rozpoczęty w Warszawie, zakończony w Krakowie – II Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy. Był on szeroko relacjonowany w mediach, nie ma więc potrzeby szerszego jego omawiania. Warto jednak zanotować, że Zjazd zajął właściwe stanowisko w sprawie ukrajinizacji Kościoła za wschodnią granicą. Odnośna rezolucja Zjazdu została utrwalona w pktcie 2 uchwał – przedrukowaliśmy ją w poprzednim numerze (CL 3/01) na pierwszej stronie.

W innych uchwałach mowa m.in. o usprawnieniu wzajemnych kontaktów i współpracy z Krajem, o podwójnym obywatelstwie, Karcie Polaka i repatriacji, o promowaniu polskich osiągnięć i reagowaniu na przejawy polonofobii, o ratowaniu polskiego dziedzictwa narodowego na Wschodzie, o patronacie nad organizacjami polskimi na Wschodzie i prasie polonijnej, o nauczaniu młodzieży, szkolnictwie i stypendiach.

Dość istotnym aspektem tego Zjazdu była nagonka na prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, Edwarda Moskala, wszczęta przez *trzyprocentowe* środowisko i jego gazetę. E. Moskal naraził się „jedynym słusznym autorytetem” *nieprawomyślnymi* wypowiedziami przeciw poniżaniu polskiej godności narodowej. Poza tym osoba Edwarda Moskala była witana entuzjastycznie.

Szczęśliwie władze Wspólnoty Polskiej nie dopuściły do pełnej dezorganizacji zjazdu i zdominowania go przez destrukcyjne tendencje, niewiele mające wspólnego z etosem Wspólnoty Polskiej. Istotna była

Kardynał Adam Stefan Sapieha (1947)



też wypowiedź prezesa Stowarzyszenia, prof. Andrzeja Stelmachowskiego: [...] w żadnym wypadku nie można poświęcać interesów naszych rodaków na ołtarzu dobrych stosunków z innymi państwami czy też innymi wpływowymi środowiskami [...]. Jak pisze GW – dostał za to brawa.

Na marginesie: „Gazeta w Krakowie” z 4 maja pokazała kolorowe zdjęcie j a k i e g o ś zespołu folklorystycznego z podpisem: *Zjazd Polonii zakończył się koncertem na krakowskim Rynku*. Nie uznano jednak za stosowne poinformować, że na zdjęciu jest „Wesoły Lwów”.

Kazimierz Selda

BRODY NAD WISŁĄ

Dziewiąty Zjazd Brodzian odbył się z końcem maja – jak co roku – w Wiśle. Obecnych było 61 osób. Gośćmi zjazdu byli wikary rzymskokatolickiej parafii w Brodach, ks. Igor Korzydło, z dwójką młodzieży.

Dzień pierwszy zjazdu rozpoczęto od czytania listów i telegramów z całej Polski i z Ameryki z życzeniami i pozdrowieniami od tych, którym stan zdrowia i trudy podróży nie pozwoliły na przyjazd i uczestnictwo w zjeździe. Ks. biskup Jan Olszański z życzeniami i błogosławieństwem zaprasza wszystkich do pięknego Kamieńca Podolskiego i jak każdego roku przysłał serdeczną homilię.

Mszę św. w intencji brodzian odprawił ks. Igor. Liturgię słowa czytała młodzież z Brodów. Wszystkim przypadło do serca kazanie Księdza, który w prostych, ciepłych słowach wyraził radość ze spotkania z uczestnikami zjazdu, zwracając się do nas jak do swoich parafian. Podkreślił wartość serdecznej więzi z miejscem urodzenia i pochodzenia i przekazał nam pozdrowienia od parafian z Brodów.

W sprawozdaniu z rocznej działalności organizatorka zjazdu nawiązała do ubiegłorocznych uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy kościół w Brodach, w którym udział wzięła nasza delegacja w osobach: Józefy Kędziarskiej z Krakowa, Teresy Boguckiej z Wrocławia, Tadeusza Grzymkowskiego z Brzege i Wilhelma Dudka z Mielca. Usłyszeliśmy o niespodziewanie trudnej i kłopotliwej podróży

Czasy obecne. W Korcu żyje ok. 200 wiernych obrz. rzym.kat. W r. 1990 odzyskali dla kultu kościół farny, obsługiwany obecnie przez ks. Józefa Kozłowskiego. Przy kościele skupia się życie społeczno-kulturalne wspólnoty.

KOWEL

Położenie. Miasto powiatowe w woj. wołyńskim, położone nad Turią w dorzeczu Prypeci, 99 m n.p.m. W okresie międzywojennym było ważnym węzłem kolejowym na skrzyżowaniu linii: Brześć n. Bugiem – Równe, Chełm – Sarny, Kamień Koszyrski – Włodzimierz. Liczyło wówczas ok. 21 tys. mieszkańców. Miało garbarnie, cegielnie, młyny, browar, fabrykę wódek, gwoździ, trykotaży i wyrobów tytoniowych.

Historia. Wieś Kowel, założona na terenie księstwa halicko-włodzimierskiego, została w XIV w. włączona do Wielkiego Księstwa Litewskiego i stała się dziedziczną własnością książęcego rodu Sanguszków, wywodzącego się od Olgierda Gedyminowicza. Była punktem o dużym znaczeniu politycznym i gospodarczym, gdyż tu właśnie odbywała się przeprawa przez Turię w drodze z Litwy na Ruś. W 1518 r. Zygmunt I nadał Kowlowi miejskie prawa magdeburskie i wynikające stąd przywileje. Prawnik pierwszego właściciela Kowla, kniazia Fiodora Sanguszki, Bazyli, zamienił się z królową Boną, oddając jej Kowel za inne posiadłości. Królowa dbała o gospodarkę miasta, potwierdziła mu prawa magdeburskie, sprowadziła osadników, zezwoliła na pobieranie dziesięciny od kupców przybywających na targi drewnem i rybami. W 1536 r. zatwierdziła miejscowe ustawy cechowe. Początkowo osadnicy żydowscy nie mieli równych praw z ludnością chrześcijańską (np. nie mogli budować domów pomiędzy domami chrześcijan). Rychło jednak, bo już w 1555 r., nastąpiło zrównanie uprawnień wszystkich mieszkańców miasta. Gdy Bona opuściła Polskę, Kowel wszedł w skład dóbr królewskich. W 1564 r. Zygmunt August dał królewską dozwolenie kniaziewi Michałowi Kurbskiemu, który schronił się do Polski przed gniewem cara Iwana Groźnego. Nie wiadomo, jak długo pozostawał Kowel w jego ręku, bo na pocz. XVII w. należał już z powrotem do dóbr królewskich. W 1616 r. Zygmunt III potwierdził Kowlowi prawa miejskie. Miasto było w tym czasie ludne i miało dobrze rozwinięte rzemiosło. Były tu, obok cechów zwyczajnych, cechy malarzy, złotników, hafciarzy. Podczas wojen szwedzkich Kowel uległ zniszczeniu, spalony został również

do Brodów i z powrotem, o serdecznej gościnności gospodarzy, o szczerzej rozmowie z ks. kardynałem Marianem Jaworskim, gorącym orędownikiem budowy nowego kościoła, która bardzo pięknie postępuje.

Pod wrażeniem wyglądu zaniedbanego cmentarza wojskowego i tablicy z Grobu Nieznanego Żołnierza wystosowano prośbę do min. Andrzeja Przewoźnika o zajęcie się tym niszczącym zabytkiem. Wcześniej, w latach 1995–96 z ramienia Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie pp. Peszek i Popławski wykonali fachowo inwentaryzację całego cmentarza wojskowego. Byli wówczas w stałym kontakcie z Kołem Przyjaciół Brodów. Niestety sprawa uporządkowania tego cmentarza z wielu względów, głównie materialnych, przesunięta jest na plan dalszy. Dla przypomnienia wysłałam znowu apele do krakowskiego i wrocławskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW. Pozostaje nam tylko czekać.

Pomoc brodzianom to przesyłki pieniężne na Święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, kolonie dzieci w Dolinie k. Stanisławowa, stół do gry w tenisa stołowego, środki higieny, słodczyce. W czasie zjazdu zebrano i przekazano ks. Korzydło 2000 zł na pokrycie kosztów podróży, na pomoc dla podopiecznych s. Gabrieli w Brodach i zakup aparatury nagłaśniającej do kaplicy oraz na zakup upominków.

Wacław Fastnacht (Kraków) oprócz tego, że służy pomocą w przekazywaniu przesyłek do Brodów, opiekuje się Jarkiem Olszewskim, uczniem Szkoły Muzycznej w Krakowie. Komplikuje się sprawa sty-

pendium z fundacji „Oleg-Intra”, w której zawodzą sponsorzy. Dołożymy wszelkich starań, żeby Jarek mógł kontynuować naukę, jest bowiem zdolny i pracowity, bierze udział w konkursach i osiąga bardzo dobre stopnie.

Jesteśmy w posiadaniu aktualnego planu Brodów, na którym znalazły się znowu ulice Feliksa Westa, Józefa Korzeniowskiego i Marii Konopnickiej.

Organizatorka wszystkich Zjazdów Brodzian w Wiśle, Stanisława Valis-Schyleny, została wyróżniona pięknym medalem pamiątkowym Zarządu Głównego Związków b. żołnierzy zawodowych i oficerów rezerwy Wojska Polskiego.

W drugim dniu zjazdu podczas dyskusji powróciła sprawa pomnika J. Korzeniowskiego w Brzegu. Przeszkodą jest nadal brak dużej kwoty na koszty budowy pomnika. Otwarta przez Zbigniewa Gratę fundacja przy TMLiKPW w Brzegu rozwija się dotąd zbyt wolno.

Stanisława Valis-Schyleny

Tekst opracowano na podstawie przekazanego nam Sprawozdania, nadesłanego przez pp. dr S. Valis-Schyleny i Danutę Bazielihową. Za skróty przepraszamy.

Pieśń do Madonny Brodzkiej

Matko Najświętsza z kościoła brodzkiego,
Uproś nam łaski Syna Swojego.
Bądź z nami zawsze, w każdej potrzebie,
Madonno nasza, błagamy Ciebie!
Pamiętaj o tych, którzy czczą Cię w Brodach
I tych rozsianych hen, po świata grodach.
Daj nam brodzianom spotkać Cię w niebie,
Madonno nasza, błagamy Ciebie!

APEL BRODZIAN

Przeciwstawiając się fałszowaniu historii w publikacjach ukraińskich na temat przeszłości Brodów, Koło Przyjaciół Brodów w Wiśle postanowiło opracować prawdziwą kronikę rodzinnego miasta, opisując pierwszą połowę XX wieku. Zarząd Koła prosi o nadsyłanie wspomnień, dokumentów historycznych, zdjęć itp. na wszelkie tematy: szkoły, harcerstwo, „Sokół” i inne organizacje, kościoły, zamek i fortyfikacje, duchowieństwo, urzędy, wojsko, kolejnictwo itd.

Intencją opracowania będzie utrwalenie pamięci i prawdy.



Notatki

◆ W 125. rocznicę śmierci Aleksandra Fredry urządzono **rajd „Śladem Fredry”** z Przemysła, przez Lwów – gdzie największy polski komediopisarz przez całe niemal życie mieszkał i tworzył – do Rudek, gdzie spoczywa, a w których pobliżu miał swój majątek i wiejską rezydencję – Beńkową Wisznię. Do uczestników rajdu dołączyli we Lwowie aktorzy tamtejszego Teatru Polskiego.

A może by się udało taki rajd organizować corocznie, z udziałem grup licealistów z różnych miast RP? Podobny rajd można by urządzić Szlakiem Królów Polskich – przez Lwów, gdzie swoje śluby składał Jan Kazimierz i gdzie urodził się Stanisław Leszczyński, Oleśko – miejsce urodzenia Jana Sobieskiego, Gródek Jagielloński, gdzie zmarł Władysław Jagiełło.

◆ W tym roku minęła 35. rocznica śmierci **gen. Tadeusza „Bora” Komorowskiego**, dowódcy Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego, naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz premiera rządu emigracyjnego. T. Komorowski urodził się w rodzinie ziemiańskiej w Tarnopolskiem w r. 1895, a zmarł w 1966 r. w Londynie.

Żoną T. Komorowskiego była córka generała (najpierw austriackiego, potem polskiego) Roberta Lamezan-Salins, właściciela zamku w Świrzu k. Przemysła, oraz willi „Mon repos” przy ul. Z. Chrzanowskiej we Lwowie – tuż poniżej szkoły św. Marii Magdaleny (żeńskiej).

◆ W lipcu zmarł w Krakowie w wieku 84 lat **Stanisław Sokalski, artysta rzeźbiarz**, pedagog na wydziałach Architektury Wnętrz oraz Form Przemysłowych krakowskiej ASP. Lwówianin, rzeźby uczył się w lwowskim Instytucie Sztuk Plastycznych przed i w czasie II wojny. Jego mistrzem był prof. Marian Wnuk, o którym – wspominając też Sokalskiego – pisał w CL 2 i 3/01 prof. T. Łodziana.

◆ W Krakowie zmarła we wrześniu **Ewa z Bohosiewiczów Sztolcman-Kotlarczyk**, aktorka i recytatorka. Występowała m.in. w Teatrze Satyryków, Rapsodycznym i Estradzie. Chętnie udzielała się we wszelkiego rodzaju szlachetnych inicjatywach i imprezach. Pochodziła z rodziny ormiańskiej, urodziła się w Kołomyi w 1928 r.

zamek. Miasto czasowo podupadło gospodarczo. Król Jan Kazimierz oddał tamtejsze starostwo dożywotnio Stefanowi Czarnieckiemu i jego żonie Zofii. August III i Stanisław August starali się pomóc miastu w podźwignięciu się poprzez różne przywileje. Posesorem starostwa był wówczas ks. Dymitr Jabłonowski. W 1773 r. Sejm nadał starostwo kowelskie na własność królowi, który odstąpił je w uznaniu zasług dla Rzeczypospolitej Wacławowi Rzewuskiemu i jego synowi Sewerynowi. Po III rozbiórce Polski Kowel włączony został do zaboru rosyjskiego. W 1831 r. rząd rosyjski skonfiskował Rzewuskiemu kowelskie dobra.

W 2. poł. XIX w. dzięki połączeniu przechodzącej przez Kowel linii kolejowej kijowsko-brzeskiej z koleją nadwiślańską, nastąpił rozwój gospodarczy miasta. W 1854 r. wybudowano ze składek społecznych drewniany kościół parafialny pw. św. Anny. Była w mieście również cerkiew prawosławna.

W latach 1915–16 w okolicy Kowla toczyły się ciężkie walki między wojskami rosyjskimi i austriackimi. W czasie II wojny miasto zostało bardzo zniszczone. Kościół pw. św. Stanisława Błm, zbudowany w latach 1924–31, został rozebrany.

Zabytki. Drewniany kościół ze wsi Wiszenki, pochodzący z r. 1771, po 1945 r. użytkowany jako kołchozowy budynek gospodarczy, został w latach 1990. w stanie ruiny przeniesiony i odbudowany w Kowlu. Na cmentarzu katolickim znajduje się kaplica, zamknięta po 1945 r., obecnie odremontowana; jest cerkwią prawosławną.

Czasy obecne. Drewniana świątynia z Wiszenek, poświęcona w 1996 r. pw. Wniebowzięcia NMP, została ustawiona na przyziemiu, w którym znalazła się kaplica i zaplecze kościoła. Kościół stanowi centrum życia społeczno-kulturalnego wspólnoty rzym.kat.

LUBOML (lub LUBOMLA)

Położenie. Miasto powiatowe w woj. wołyńskim, leży przy linii kolejowej Chełm – Kowel, w odległości 88 km od Chełma i 48 km od Kowla. W latach międzywojennych liczyło ok. 3500 mieszkańców (przed I wojną 7 tys.). Powiat utworzono po I wojnie.

Historia. Luboml leży na historycznej Ziemi Chełmskiej i należał do ksiąząt litewskich. Ziemia ta w 1356 r. została przyłączona do Korony, a Luboml, na mocy porozumienia między Olgierdem a Kazimierzem Wielkim został w 1366 r. nadany w dzierżawę lenną księciu bełskiemu Jerzemu Narymontowiczowi. Za czasów Władysława

KULTURA NAUKA

Kronika

◆ W pierwszych dniach lipca, w **60. rocznicę kaźni Profesorów Lwowskich** na Wzgórzach Wuleckich, dyrekcja Muzeum Niepodległości w Warszawie urządziła Wieczór Pamięci wraz z otwarciem okolicznościowej wystawy. Na program wieczoru złożyły się występy m.in. Jerzego Janickiego, Magdaleny Bajer (*Lwowskie rody uczone*), Aleksandry Garlickiej i ks. Janusza Popławskiego, a następnie wyświetlono film pt. *4 lipca o świcie we Lwowie*, nakręcony w 1988 r. przy udziale J. Janickiego.

Również we Wrocławiu rocznicę uczczono mszą św., sesją i wystawą pt. *Leopolis docet (Lwów uczy)*. Na sesji wygłosili referaty prof. S.S. Niciejaja i prof. R. Szust

W tym numerze zamieszczamy artykuł M. Szpytmy o rocznicy dramatu na Wulce.

◆ W połowie sierpnia otwarto w Galerii Wspólnoty Polskiej w Krakowie **wystawę zdjęć z Drohobycza**, autorstwa Wiesława Budzyńskiego. Wernisaż wystawy połączono z promocją jego książki *Schultz pod kluczem*. Autor pokazał na wystawie krajobrazy miejskie, które dobrze ilustrują swoistą atmosferę Drohobycza, gdzie *malownicza* bieda sąsiadowała z elegancją will bogatych przemysłowców. Ale także reprezentacyjne obiekty: świątynie, ratusz, szkoły. Warto by z tego wszystkiego zrobić album, bo Drohobycz – szczęśliwie nie najgorzej dotąd zachowany (dopiero teraz grożą mu ubytki: na niezwyklej synagodze już zawalił się dach), należy do niekwestionowanej czołówki miast nie tylko Małopolski Wschodniej, lecz całej Małopolski, i to nie tylko pod względem urody. Także z racji związków z tym miastem wielu wybitnych Polaków współczesnych (Schultz, Wierzyński, generałowie Maczek i Karaszewicz-Tokarzewski, malarze bracia Gottliebowie i Lachowicz) oraz dawniejszych, jak Jerzy z Drohobycza

(z którego ostatnio zrobiono *Ukraińca*, prawnem kaduka), Marcin Laterna. Ich ślady warto utrwalić.

◆ W Dąbrowie Tarnowskiej odbył się z końcem lipca br. **IV Polonijny Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych**, zorganizowany przez tamtejszy Dom Kultury pod kierownictwem p. Pawła Chojnowskiego. W imprezie, obok krajowych zespołów, wzięły udział m.in. zespół taneczny „Lwowiacy”, kierowany przez Edwarda Sosulskiego, i kapela „Wesoły Lwów” Zbigniewa Jarmilki, a także zespół dziecięcy „Truskaweczka” z Wilna i kapela „Olza” z Cieszyna Czeskiego.

Antoni Grochal

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 W pierwszych miesiącach br. ukazała się na półkach księgarskich monumentalna praca **Władysława i Ewy Siemaszków pt. Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945** (Wydawnictwo von Borowiecky, Warszawa 2001). Praca ta w I tomie (ok. 1000 stron) podaje w układzie chronologicznym opis aktów zbrodni dokonanych w bestialski sposób na ludności polskiej przez członków Ukraińskiej Powstańczej Armii w 11 powiatach województwa wołyńskiego. Tom II (ok. 400 stron) zawiera załączniki: relacje świadków zbrodni, raporty i sprawozdania struktur polskiego podziemia, dokumenty ukraińskich nacjonalistów i inne.

Zbieranie i opracowanie dokumentów ojcu, Władysławowi Siemaszce, członkowi konspiracji w powiecie włodzimierskim, a następnie żołnierzowi 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, oraz jego córce Ewie, szczerze zaangażowanej w tej pracy, zajęło przeszło 10 lat ich życia.

Zebrana szczegółowa dokumentacja, opierająca się na relacjach świadków (1668

relacji), aktach śledztw, aktach i postanowieniach sądów w sprawach uznania za zmarłych, zapisach zgonów z ksiąg metrykalnych, w nieodparty sposób wykazuje, że ofiarami zbrodni ludobójstwa w omawianym okresie było 50–60 tysięcy ludzi, w tym wiele kobiet i dzieci.

Praca ta spotkała się nie tylko z dużym zainteresowaniem społeczeństwa b. Kresów. Dowodem docenienia jej jest przyznanie tegorocznej nagrody „Przeglądu Wschodniego” za najlepszą publikację dotyczącą dziejów Europy Wschodniej właśnie W. i E. Siemaszkom. Nagrodą tą podzielili się oni z młodym historykiem krakowskim z UJ, Janem J. Burskim.

Dla pełnego obrazu należy zaznaczyć, że pierwsze prace nad gromadzeniem relacji o zbrodniach nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej w czasie II wojny światowej zaczęły napływać w połowie lat 80. na apel Środowiska Żołnierzy 27. WDPK w Warszawie (obecnie Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy AK), a opracowaniem ich zajęli się żołnierze tej Dywizji, Józef Turowski (już nieżyjący) i Władysław Siemaszko. Wynikiem ich pracy było wydanie w 1990 r. przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce niewielkiego opracowania pt. *Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939–1945* – było więc ono początkiem tego monumentalnego dzieła.

Ukazały się ostatnio recenzje w dziennikach oraz w periodykach, pozytywnie oceniające prace ww. autorów i będące głosami 1000 Polaków ocalałych z pogromu na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej, domagających się, aby te zbrodnie nacjonalistów ukraińskich zostały potępione tak, jak w swoim czasie zbrodnie niemieckie i sowieckie.

Do powstania tego dokumentu przyczyniła się praca bardzo dużej grupy ludzi, którym autorzy dziękują – *po wołyńsku, a więc szczególnie serdecznie całemu Środowisku Wołyńskiemu, bez którego wielkiego zaangażowania przygotowanie tej pracy nie byłoby możliwe, które spisywało relacje, odszukiwało żyjących jeszcze świadków, konsultowało, a także wspierało nas duchowo, gdy ogrom pracy nas przytłaczał. Mamy nadzieję, że dzięki temu naszemu współ-*

Jagieli był tu zamek, zapewne drewniany. Ten sam król ufundował w 1412 r. kościół pw. Św. Trójcy, pierwotnie gotycki, wielokrotnie niszczony i odbudowywany, konsekrowany w 1552 r. przez bpa Jakuba Uchańskiego. W XVII w. nadano mu charakter barokowy. Z czasem utworzono tu starostwo grodowe, wcielone za Zygmunta III Wazy do tych dóbr królewskich, na których oparta była oprawa posagowa królowej. W 1659 r. sejm nadał je w dożywocie wojewodzie kijowskiemu i hetmanowi kozackiemu Wyhowskiemu, za zasługi dla Rzeczypospolitej. Ostatnią starościna była do 1771 r. Antonina Rzewuska. Okres świetności nadszedł dla Lubomla w końcu XVIII w. wraz z przejściem miasta w ręce Branickich, którzy założyli tu swoją rezydencję, budując pałac z parkiem, użytkowany przez nich aż do konfiskaty w połowie XIX w. W 1881 r. uległ pożarowi, reszty zniszczenia dokonała II wojna. Pod rządami Branickich miasto bardzo się rozbudowało i ożywiło gospodarczo. W 1. poł. XIX w. na rynku zbudowano sukienicę. W 1870 r. rząd rosyjski przejął dobra, rozparcelowane na fermy, nadawane urzędnikom państwowym za zasługi. Miasteczko popadło wówczas w marazm, aż do czasu, gdy stając się stacją kolei przeżyło ponowne ożywienie.

Kościół parafialny pw. Najśw. Trójcy został w r. 1945 zamknięty przez władze sowieckie, wyposażenie zniszczono, a budynek przeznaczono na magazyn soli. W latach 70. konserwatorzy sowieccy przeprowadzili w nim prace renowacyjne, które, niekompetentnie prowadzone, doprowadziły do jeszcze większego zniszczenia. Później umieszczono tam tartak. W 1985 r. wichura zerwała nowy dach, zawałiła się sygnatka. Władze administracyjne planowały urządzenie tam muzeum.

Zabytki. Po zamku pozostały lochy i sklepienne podziemia, a po pałacu XVIII-wieczne oficyny. Park pałacowy stał się parkiem publicznym.

Kościół parafialny, dzwonnica z 1640 r. Obraz MB Lubomelskiej z XVII w. znajduje się obecnie w Polichnej k. Kraśnika.

Synagoga murowana, niegdyś obronna, wzniesiona w 1. połowie XVI w., ozdobiona polską attyką renesansową.


Czasy obecne. Wspólnota rzym.kat. odzyskała w 1992 r. kościół parafialny, który został odremontowany i skupia życie parafialne.

OŁYKA

Położenie. Miasteczko w pow. łuckim, woj. wołyńskim, nad rzeczką Putylówką (dopływem Horynia). Oddalone o ok. 40 km na wschód od

nemu wysiłkowi okrutnie i bezpowrotnie zniszczony „Polski Świat Wołyński”, przemilczany i zniekształcany z jego ofiarami ludobójstwa ukraińskiego uda się wpisać na zawsze w pamięć narodową.

dr Jan Lipiński,
przewodniczący ŚŻ 27.WDPAK w Krakowie


 Dom Wydawniczy „Bellona” wydał w 1998 r. książkę **Władysława Hermaszewskiego** pt. **Echa Wołynia**. Autor pochodzi ze znanego i rozgałęzionego wołyńskiego rodu, drobnej szlachty herbu Zaremba. Pierwszych kilkanaście lat życia spędził na Wołyniu w Policach, Berezne i okolicznych miejscowościach powiatu kostopolskiego.

Hermaszewski szeroko i systematycznie opisuje dzieje swojej rodziny od połowy XIX w., miejsce swego urodzenia, życie rodzinne i towarzyskie w okresie międzywojennym, swoje lata szkolne. Nastroj książki stopniowo zmienia się po wybuchu wojny. Zaczynają się dramatyczne przeżycia kilkunastoletniego chłopca – z apogeum w marcu 1943 r., gdy staje się on naocznym świadkiem jednego z pierwszych masowych mordów ludności polskiej w Lipnikach, dokonanego przez bandę UPA. Sam z najbliższą rodziną uchodzi z życiem, ale ginie kilkunastu krewnych, w tym dziadkowie. Niedługo potem ojciec ginie od skrytobójczej kuli ukraińskiej.

Następne dwa lata to tułaczka matki z siedmiorgiem dzieci, ucieczka przed ukraińskim niebezpieczeństwem, zdobywanie dachu nad głową i żywności. Autor, jeszcze chłopiec, wykazuje się zaradnością i odpowiedzialnością za rodzinę. Przejście frontu i przejście władzy przez Armię Czerwoną uspokaja Wołyń. Rodzina Hermaszewskich w 1945 r. wyjeżdża na Ziemię Zachodnie. Najmłodszy z rodzeństwa autora, Mirosław, cudem uratowany z pogromu w marcu '43 zostanie później pierwszym polskim kosmonautą.

Książka jest zbeletryzowanym, bardzo wartościowym dokumentem historycznym. Obok ilustracji archiwalnych i współczesnych oraz mapek, zawiera spis ofiar mordu w Lipnikach. (DTS)

Książka do nabycia w wydawnictwie.

 **Irena Wierzbanowska-Kawalec** wydała książkę pt. **Do szczęśliwej rzeki dwa**


razy nie wejdiesz (wyd. Platforma Sztuki i Biznesu „Kreator”, Kraków 2000).

Autorka pod wpływem wizyty na cmentarzu polskim Monte Cassino przypomniała sobie dzieciństwo, które – jako córka oficera KOP – spędziła w małym miasteczku Berezne w powiecie kostopolskim przy wschodniej granicy Polski. Pod wpływem wspomnień powstał opis życia kresowego w okresie międzywojennym, widziany i zapamiętany przez dziecko. Było to życie w społeczności wielonarodowej, z przestrzeganiem podziałów klasowych i zależności służbowych. Dla współczesnego czytelnika to opowieść z innego świata.

Autorka kilkakrotnie przy wspomnianiu zaprzyjaźnionych osób zastanawia się nad czekającymi ich losami po 17 września '39: Sybir, Kazachstan, Monte Cassino. Natomiast pomija najkrótszą drogę do wieczności, jaką zgotowano oficerom KOP-u, przez Ostaszków, Twer (wtedy Kalinin), Miednoje.

Książka jest napisana żywym, barwnym językiem. Czytelnik bez trudu wyobraża sobie rzekę Stucz, pola, drogi polne i piaszczyste, ogromne lasy i zimowe śniegi – tak charakterystyczne dla Wołynia. (DTS)

Książka do nabycia w większych księgarniach.

 Ukazał się pierwszy tom pracy **Bogusława Polaka**, która otwiera wielotomowy w założeniu cykl pt. **Walki o Lwów i Małopolskę Wschodnią 1918–1920. T. I. 1–30 listopada 1918 r.** Jest to wybór materiałów źródłowych, które w zamierzeniu miały być opublikowane przez Komisję Naukową Badania Historii Obrony Lwowa i Województw Południowo-Wschodnich jeszcze w latach 1930. Niestety po wybuchu wojny dokumenty te zostały zagarnięte przez bolszewików. Szczęśliwie duże zespoły duplikatów odnaleziono w Centralnym Archiwum Wojskowym, w Archiwum Akt Nowych, w Paryżu i innych miejscach.

Książka zawiera 241 odpisów dokumentów zarówno strony polskiej, jak i ukraińskiej. We wstępie autor zamieścił skrót wydarzeń okresu, do którego odnoszą się opublikowane materiały (listopad 1918).

Dokumenty czyta się z ogromnym zainteresowaniem, podobnie liczne przypisy, głównie biograficzne. Dla ilustracji cytujemy list skierowany przez rannych oficerów ukraińskich do ich komendy:

Do Komandy Ukraińskich Wijsk u Lwowi.

My, podpisani Ukraińcy oficyry... jaki nahodymość pomiż chorymi szpitala w hołownym budynku Politechniki u Lwowi, naszym własnym imenem, jak takōż imenem ukr. mužwy, czystom około 57 czołowik, pryłuczajemość w ciłyj osnowie do proszenia Komandy zhadanoho szpitala, aby ukr. wijska a prodowsim ikr. artylerja zaperestala ostreliwanja budynku Politechniki – zajawłajuczj riwnoczasno z przyznaniem, szczo do teper zawdiaki ludianosty polskich likariw, likarok i szpitalnoj starszyny ne robleno nijakoj riżnicy pomiż ukraińskimi, polskimi i żydiwskimi ranenymi i chorymi. [następuje 8 podpisów].



Obserwując wysiłki historyków ukraińskich, starających się przez różne manipulacje wybielić błędy swoich polityków w okresie I wojny światowej i bezpośrednio po niej, warto zapoznać się z niewielką książeczką pt. **Polacy w walce o niepodległość Ukrainy 1920**. Jest to praca zbiorowa pod redakcją **Jana J. Kasprzaka** (Agencja Wydawnicza i Reklamowa „Akces”) i zawiera 6 rozdziałów, opracowanych przez młodych, pravicowych dziennikarzy, związanek z ATK w Warszawie i UW oraz KUL. Autorzy omawiają kolejno: stosunki polsko-ukraińskie 1918–20, wyprawę kijowską, wielkość strat ludzkich i wiele nazwisk poległych żołnierzy polskich, a także los rozbitej armii URL, internowanej na terenie Polski. Przytoczono podstawowe dokumenty państwowe, dotyczące działań polsko-ukraińskich na wiosnę 1920 r.

Książkę kończy zbiór poezji poświęconej tematowi walk z tamtego okresu, a także pięć ciekawych wierszy napisanych przez Taisiję Jeremienko, pracownicę naukową Instytutu Historycznego w Kijowie. Jej wiersze powstały pod wpływem wrażeń wyniesionych z sesji naukowej z okazji 60. rocznicy śmierci Marszałka J. Piłsudskiego w maju 1995 r. na Zamku Królewskim w Warszawie.

W omawianej książce wszystkie tematy ujęte są bardzo syntetycznie i skrótowo, ale prawdziwie przedstawiają ten okres wspólnych działań polsko-ukraińskich. Nie wdając się w przypominanie szczegółów (istnieje na ten temat obszerna literatura), trzeba

Łucka i 12 km od stacji kolejowej na linii Kowel – Równe. W latach międzywojennych liczyła 4,5–5 tys. mieszkańców.

Historia. Olyka była starą osadą w księstwie kijowskim, wzmiankowaną po raz pierwszy w kronikach ruskich w 1149 r. W XIV w. została włączona do Wielkiego Księstwa Litewskiego, a w 1569 r. do Korony. Należała do rodziny Kiszaków, zaś ok. 1533 r. Dorota, córka Stanisława Kiszki, wychodząc za Jana Radziwiłła Brodatego, wniosła mu Olykę w posagu. Ich syn Mikołaj, gorliwy zwolennik kalwinizmu, uczynił z Olyki ośrodek religii kalwińskiej. Prawa magdeburskie Olyka dostała w 1564 r., a potwierdzili je później Zygmunt III i Władysław IV. W 1589 r. Radziwiłłowie założyli tam ordynację, istniejącą do 1939 r. Mikołaj Czarny Radziwiłł, kanclerz litewski, zbudował w 1554 r. w Olyce zamek, wzniesiony w stylu renesansowym, jednak po licznych przebudowach stracił on swoje cechy stylowe. W XVII w. założono wokół zamku fortyfikacje typu *vaubanowskiego*. Wały były otoczone szerokimi fosami. Zamek ten stanowił ważną twierdzę przeciw Turkom, Tatarom i Kozakom, a jego wyposażenie stanowiło 200 armat. W 1648 r. miasto zostało złupione i spalone przez Kozaków.

W 1795 r. Olyka znalazła się w zaborze rosyjskim. W XIX w. stan miasta był nędzny; ożywiały je tylko odbywające się tu jarmarki, na których handlowano zbożem i drewnem. Odbywały się tu też targi na postoly (stąd powiedzenie *Olyka na lyka*).

Zamek olycki był jedną z najpiękniejszych rezydencji magnackich, jednak uległ częstym zniszczeniom. Z początkiem XX w. ks. Ferdynand Radziwiłł poddał go gruntownej restauracji, zakończonej w 1914 r., przeprowadzonej przez architekta Zygmunta Gorgolewskiego (twórcy Teatru Wielkiego we Lwowie). W zamku mieściły się wtedy duże zbiory dzieł sztuki, pamiątek historycznych, mebli, portretów, tkanin, zbrojownia i biblioteka. Jednak w czasie I wojny zbiory te zostały zrabowane, a częściowo wywiezione do Rosji. W latach międzywojennych zamek był zamieszkały przez Radziwiłłów, ale opustoszały.

Albrecht Stanisław Radziwiłł ufundował w Olyce kolegiatę pw. Św. Trójcy, zbudowaną w latach 1635–40. Kościół trójnawowy o dwóch niskich wieżach, wzniesiony wg projektów Jana Malivery i Benedykta Molli z Rzymu, był uważany za najpiękniejszy kościół na Wołyniu. Rzeźbione ołtarze z marmuru i alabastru wykonano pod nadzorem Melchiora Ampelego ze Lwowa. Wnętrze zdobily

podkreślić, że myśl federacyjna Piłsudskiego miała swój dalekosiężny cel, ale zderzyła się z nieprzewidywanymi zmianami sytuacji politycznej i narodowościowej w tym rejonie Europy. W odniesieniu do Ukrainy okazało się, że naród ten, zniewolony przez Rosję od ugody perejśławskiej Chmielnickiego w 1654 r., utracił instynkt państwowy i w momencie decydującym nie zdobył się na wolnościowy zryw. Trzeba tu przywołać porównanie ze stanowiskiem narodu polskiego, który po 120 latach niewoli we wszystkich dzielnicach stanął do walki o wolność. Wystarczy przypomnieć Lwów i Małopolskę Wschodnią, Poznańskie czy Śląsk. W roku 1920 Polska zdołała wystawić 700-tysięczną armię, w tym 500 tysięcy na froncie wschodnim, z czego 300 tys. na froncie ukraińskim. Społeczeństwo ukraińskie, prawie jednakowe liczebnie, zdołało wystawić maksymalnie 100 tys. żołnierzy, w tym w armii URL 39 tysięcy, a więc siedem razy mniej niż Polacy. Nie pomogło Ukraińcom nawet oddanie im stolicy kraju, Kijowa, w dniu 7 maja 1920, do którego pierwszy oddział polski – ułani I pułku szwoleżerów – wjechał... tramwajem! W tym świetle bardzo kurtuazyjnie brzmi wypowiedź Marszałka na spotkaniu z dowódcami armii URL w obozie internowania w Kaliszu 15 maja 1921: *Ja was przepraszam panowie, ja was przepraszam – to miało być zupełnie inaczej.*

Oczywiście nie miał Piłsudski za co przepraszać Ukraińców, gdyż słaby ich udział w walce o niepodległość zagroził nawet niepodległości Polski i trzeba było walczyć z Armią Czerwoną o los całej Europy. W publicystyce ukraińskiej często spotykamy twierdzenie, iż Piłsudski zdradził Ukrainę. Jest to stała metoda manipulowania historią; omawia się pewne fakty, nie podając ich przyczyn. Wycofanie wojsk polskich z Ukrainy wynikało z braku odzewu w tamtym społeczeństwie.


Ta sama metoda odzywa się w ciągłym przypominaniu akcji „Wisła”, bez podawania jej przyczyn. Publicyści ukraińscy nie wspomnieli nigdy, że już po zakończeniu wojny na terenach RP, nazywanych przez nich „Zakierzonia”, UPA prowadziła krwawą partyzantkę, a o oderwanie od macierzy polskich terenów walczyło wtedy 70 band po ok. 50 ludzi, zorganizowanych w 4 kureniach, łącznie 2500 ludzi, dobrze wyszkolonych

i uzbrojonych. Ich dziełem było kilka tysięcy zamordowanych żołnierzy polskich i osób cywilnych oraz setki spalonych polskich wsi. Tego wszystkiego jakby nie było, była tylko akcja „Wisła”.

Analizując współdziałanie Polaków z Ukraińcami w 1920 r., warto przestudiować załączone w książeczce dokumenty. Strona polska potraktowała rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej jako równorzędnego partnera. Świadczy o tym umowa między rządami z 21 kwietnia 1920 i konwencja wojskowa z 24 kwietnia. Charakterystyczny jest komunikat informacyjny dowództwa frontu wołyńskiego do wiadomości dowódców i szefów sztabów wojska polskiego z 1 marca 1920. Znajdujemy tam takie fragmenty:

[...] Obecnie rząd polski zamierza poprzeć ruch narodowy ukraiński, aby stworzyć samodzielne państwo ukraińskie, a przez to znacznie osłabić Rosję odbierając jej okolice najbogatsze w zboże i skarby ziemne [...] i dalej: W tym samym duchu też należy uświadomić częściowo żołnierzy, tłumacząc im, że przedtem Polska walczyła z Ukrainą, obecnie zaś po osiągnięciu swoich celów weszła na drogę ugody i popierania Ukrainy. We wszystkich sporach i zająciach, jakie mogą wyniknąć na tle politycznym między Rosjanami i Ukraińcami, należy popierać żywioł ukraiński [...]

Warto też zwrócić uwagę, iż wiele szczegółów tego zagadnienia omówiono na konferencji w Toruniu w listopadzie 1995 r. Materiały z niej zostały wydane przez Uniwersytet M. Kopernika w 1997 r. pt. *Polska i Ukraina. Sojusz z 1920 roku i jego następstwa*. Potężny tom na 562 stronach zawiera 30 referatów przygotowanych przez 22 uczonych polskich i 8 ukraińskich (z różnych uniwersytetów po obu stronach). Zainteresowani problematyką znajdą tam wiele dotąd mało zbadanych zagadnień. Dla wczucia się w ówczesną atmosferę warto też polecić lekturę wydanych ostatnio przez Wojskowy Instytut Historyczny i Oficynę Wydawniczą „Ajaks” dzienników gen. Mariana Kukiela pt. *Moja wojaczka na Ukrainie. Wiosna 1920.* (KS)

 Książka **Tomasza Matyszewskiego** pt. **Listy sercem pisane** (wyd. Fundacja Studium Okręgu AK Kraków, Kraków 1999) ilustruje przeżycia lwowskich żołnierzy kon-

spiracji z Armii Krajowej, Zgrupowania „San” i Oddziałów Leśnych „Warta” Obszaru Lwowskiego na Rzeszowszczyźnie. Ukazuje to poprzez ich osobiste listy do swego dowódcy, pisane w czasie 46 lat po zakończeniu II wojny – listy ludzi pozbawionych ojczyzny przez decyzje podjęte w Jałcie, którzy nie mogąc powrócić do domów, próbują przystosować się do życia wśród społeczeństw Zachodu.

Autor książki, major Matyszewski, adresat tych listów, był żołnierzem kampanii wrzesniowej, członkiem konspiracji w Warszawie od X 1939 w ramach Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW). Oddelegowany do Lwowa, zostaje komendantem NOW dzielnicy Lwów-Śródmieście. Po scaleniu z AK organizuje i dowodzi 8. kompanią 26. pp AK w Milczycach. Po „Burzy” dociera ze swoimi ludźmi do Zgrupowania „San” w rejonie Mościsk, bierze udział w próbie pójścia na pomoc Powstaniu Warszawskiemu. Zgrupowanie zostaje jednak rozbrojone przez NKWD, Matyszewski zaś z większością ludzi wymyka się z okrażeń i przedostaje się w okolice Żołyni, gdzie tworzą się oddziały „Warty”. Zostaje dowódcą kompanii, oślania ludność polską przed napadami UPA i band rabunkowych. Po rozwiązaniu „Warty” w VIII 1945, wobec zagrożenia ze strony UB i NKWD, zbiera grupę swoich żołnierzy w Gliwicach, zaopatrzuje ich w dokumenty repatriacyjne i jako G r e k ó w przeprowadza do Czech, a stamtąd, wraz z oddziałami 3. Armii amerykańskiej dostaje się do Norymbergi. Kpt Matyszewski obejmuje dowództwo 4007. polskiej kompanii wartowniczej, której jeden pluton ochraniał Trybunał Międzynarodowy, sądzący zbrodniarzy hitlerowskich.

Po rozwiązaniu kompanii w X 1946 pozostaje na emigracji, organizuje Koło b. Żołnierzy AK i Związek Robotniczy, przede wszystkim zaś opiekuje się grupą swoich podwładnych, starając się pomóc im w ułożeniu sobie życia. Z ojcowską troską stara się o umieszczenie ich w szkołach, na uczelniach, w miejscach pracy. Ten etap ich życia jest właśnie treścią listów pisanych do dowódcy. Listy dotyczą wszystkich przejawów ich prywatnego życia – nauki, ożeńków, różnych przemyśleń, wątpliwości, rozterek. Wiele miejsca zajmują problemy powrotu do Polski lub miejsca osiedlania na

ponadto grobowce i pomniki Radziwiłłów z kolorowych marmurów. Kolegiatę otoczono murami obronnymi z basztami na narożach.

W 1550 r. zbudowano również renesansowy murywany kościół św.św. Piotra i Pawła, który służył Radziwiłłom jako zbór w okresie, gdy rodzina ta hołdowała protestantyzmowi.

Zabytki. Kolegiata ołycka została w okresie powojennym zdewastowana, zachowała się jednak część wystroju ścian i sklepień. Dzwonnica kolegiaty trójarkadowa, pozbawiona dzwonów. Kościół św.św. Piotra i Pawła uległ zniszczeniu w 1920 r., odbudowany w okresie międzywojennym, zamknięty w 1945 r.

Zamek Radziwiłłów zachował swoją bryłę oraz wały, jednak wnętrza zostały pozbawione wszelkiego wystroju i wyposażenia. Nieliczne obiekty z wyposażenia wnętrza znajdują się obecnie w Lwowskiej Galerii Sztuki. Kompleks zamkowy został zamieniony na szpital psychiatryczny.

Brama miejska z 1. połowy XVII w.

Czasy obecne. Kolegiata została zwrócona do kultu rzym.kat. w 1997 r. Obecnie prowadzone są prace renowacyjne. Kościół św.św. Piotra i Pawła od 1991 r. służy jako miejsce kultu dla parafii rzym.kat., do czasu odrestaurowania kolegiaty.

WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI

Położenie. Miasto powiatowe w woj. wołyńskim, położone nad Ługiem (prawobrzeżnym dopływem Bugu), przy linii kolejowej Lwów – Kowel. W okresie międzywojennym liczył ok. 21,5 tys. mieszkańców. Istniał tu przemysł rolny i skórzany oraz rozwinięty handel ziemniakami.


Historia. Włodzimierz był jednym z najstarszych grodów ruskich, założonym prawdopodobnie w 2. poł. X wieku (po aneksji tych ziem w r. 981). Po raz pierwszy wzmiankowany w dokumencie z 998 r., kiedy to Włodzimierz Wielki, książę kijowski, ustanowił go stolicą odrębnej dzielnicy, w której osadził jednego ze swoich synów, Wsiewołoda. W 992 r. Włodzimierz erygował tu biskupstwo. Odtąd Włodzimierz stał się najważniejszym ośrodkiem życia politycznego i religijnego tej części państwa ruskiego i na długi czas kością niezgody między Rusią Kijowską, Polską i Litwą. W 1321 r. Gedymin, pokonawszy książąt ruskich, zdobył księstwo włodzimierskie. W 1349 zajął je czasowo Kazimierz Wielki, który ustanowił tu biskupstwo rzym.kat., przeniesione później do Łucka. Po śmierci Kazimierza Litwini ponownie opanowali Włodzimierz, odebrany im w 1431 r. przez Władysława Jagiellę podczas jednej z jego

Zachodzie. Autorzy listów rozjechali się po całym świecie, nie wyłączając USA, Kanady, Australii...

W książce zamieszczono 102 listy od trzydziestu nadawców. Świadczą one, jak silne są przyjaźnie wojenne, pokazują bez retuszu i upiększeń przeżycia Polaków, którzy swoje życie poświęcili wolności ojczyzny.

Wśród listów wyróżnia się blisko połowa (obejmująca ponad 60% objętości książki), pisana przez Antoniego Wawrę, pseud. „Dziadek”. Ich autor, lwowski gimnazjalista, skończył w okresie okupacji podchorążówkę i został wybitnym dowódcą partyzanckim, dowodząc m.in. plutonem Oddziału Leśnego w Milczycach, a później kompanii w zgrupowaniu „Warta”. Jego liczne i długie listy zawierają wnikliwe opinie o sytuacji Polski w świecie i losie w nim Polaków, szczególnie zaraz po wojnie, gdy władze okupacyjne w Niemczech były niezbyt przychylnie ustosunkowane do uchodźców polskich, a nieraz – pod wpływem władz warszawskich – wręcz zmuszały Polaków do repatriacji, w wyniku której zapelniali się więzienia UB. Listy „Dziadka” świadczą o wysokiej inteligencji i szerokich horyzontach myślowych młodego wtedy człowieka, ale wychowanego w polskiej szkole międzywojennego dwudziestolecia.

Książka Matuszewskiego winna stać się lekturą młodzieży, która nie powinna o tych poruchach czasach nigdy zapomnieć. (KS)

 Książka **Mieczysława Buziewicza** **Stąd nasz ród** (Ustrzyki Dolne 2001) wypełnia lukę informacyjną na temat północno-zachodniego skrawka Małopolski Wschodniej. Jakoś tak się składa, że obok olbrzymiej literatury na temat Lwowa – co zrozumiałe – a także Stanisławowa, Tarno-

poła, Drohobycza i ich regionach po zachodniej, południowej i wschodniej stronie całej tej krainy, nazbierało się przez lata niemało. I prawie nic o stronie północnej – o Sokalu, Krystynopolu, Bełzie, Ostrowie, Uhnowie, Warężu, z którymi historia – nie licząc centrum Sokala, położonego po wschodniej stronie Bugu – obeszła się w sposób przedziwny. Miasteczka te i otaczające je dziesiątki wsi znalazły się po 1944/45 roku w powojennej Polsce i rozpoczęły – na miarę PRL-u i w porównaniu z wschodnią stroną Bugu, zagrabioną wtedy przez ZSRR – względnie normalne bytowanie. W siedem lat później nastąpiło coś niespodziewanego: rząd sowiecki wymusił przekazanie mu tego obszaru, bo postanowił zabrać jeszcze węgiel tam zalegający, jakby nie dość mu było niezmiernych bogactw naturalnych rozrzuconych po całym terytorium *nie-ludzkiej ziemi*, z których nie potrafił jednak zbudować swoim obywatelom dobrobytu (i dotąd tego nie potrafią spadkobiercy *sojuza*). Sowieci zabrali wtedy też linię kolejową z Rawy Ruskiej do Sokala, przesuwając granicę ustaloną w Jalcie na rzeczce Sołokiji – na północ, na naszą niekorzyść oczywiście. *W zamian za to dali nam* nasze wcześniej zabrane ziemie w Karpatach – Ustrzyki Dolne i okolice, nb. gospodarczo nieporównywalnie mniej warte od tamtych.

Tym właśnie miejscowościom poświęcił swoją książkę M. Buziewicz – w 50. rocznicę dramatu. Książka, mimo popularnego ujęcia tematu, ma w swojej drugiej części wartość historyczno-naukową. Autor przedstawia najpierw historię regionu sokalskiego, jego miasteczek i okolic od średniowiecza po 1951 rok. Opisuje ich życie w okresie XX-lecia międzywojennego i obie wojny, dokumentuje rzezie ukraińskie.

Druga część to szczegółowe wykazy osób z miejscowości w Sokalskiem i Rawskiem, przesiedlonych w ramach akcji „HT-1951” (od pierwszych liter powojennych powiatów w woj. lubelskim: hrubieszowskiego i tomaszowskiego) do powiatu ustrzyckiego. Wykaz nie wyczerpuje oczywiście całej ludności wysiedlonej, bo wiele z niej skierowało się i rozproszyło na ziemiach zachodnich i północnych PRL. Sam autor pochodzi z Krystynopola i osiadł w Lesku.


Z okazji 50. rocznicy przesiedleń odstonięto w kilku miejscowościach w rejonie



Ustrzyk Dolnych stosowne tablice pamiątkowe – bliższe informacje zamieścimy w następnym numerze w rubryce *W Krakowie i dalej*.

Na marginesie: tegoroczna pielgrzymka Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. odbyła się do krakowskich Bernardynów, gdzie przechowywany jest (jakby wstydliwie, w małej kapliczce między kościołem a klasztorem) łaskami słynący obraz Matki Boskiej Pocieszenia z Sokala. Na uroczystość licznie przybyli do Krakowa wygnańcy osiadli w Ustrzykach Dolnych i okolicach. Piszemy o tym osobno.

Książkę można zamówić u autora: mgr M. Buziewicz, 38-600 Lesko, ul. Smolki 8/51, tel. (13) 469-64-64.

 Tę książkę anonujemy z podwójną satysfakcją: po pierwsze wzbogaca naszą wiedzę o Ziemiach Wschodnich – tym razem o Wołyniu, po drugie za – jej autorem jest **Krzysztof Rafał Prokop**, który swój artykuł o arcybiskupie lwowskim (a potem praskim) A.A. Ankwiczu zamieścił w naszym kwartalniku (CL 2/98, tamże notka biograficzna autora). Książka nosi tytuł **Sylwetki biskupów łuckich** (wyd. „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec – Ostróg 2001). Autor miał szczególne kwalifikacje do podjęcia tego tematu, ponieważ specjalizuje się m.in. w biografistyce, o czym świadczy opracowany przezeń leksykon biskupów III Rzeczypospolitej, a także wymieniony artykuł w CL.

Lista rzymskokatolickich biskupów wołyńskich, rozpoczynająca się od r. 1358 we Włodzimierzu, a od 1425 r. w Łucku, obejmuje 55 nazwisk. Pierwsi – poczynając od Piotra (nieznanego pochodzenia) byli dominikanami. Obecnym ordynariuszem diecezji łuckiej (w obrębie metropolii lwowskiej) jest ks.bp. Marcján Trofimiak, wcześniej sufragan we Lwowie.

Wśród biskupów wołyńskich znajdujemy sporo głośnych skądinąd nazwisk*, ponieważ dawniej częste były *translacje* (przenoszenie) biskupów. Dwóch (Maciejowski i Lipski) przeszedłszy do Krakowa zostało kardynałami. Jest ciekawostką, że aż dziewięciu biskupów lub byłych biskupów łuckich spoczęło w Krakowie, w tym sześciu na Wawelu, dwóch w kościele św.św. Piotra i Pawła, i jeden u karmelitów. Inne trans-

wypraw przeciwko Świdrygielle. W 1491 r. Włodzimierz został spalony przez Tatarów, a tamtejsza ludność wymordowana lub wzięta w jasyr. Spustoszone miasto utraciło znaczenie na rzecz Łucka.

Król Kazimierz Jagiellończyk, by pomóc podupadłemu miastu, nadał mu prawo magdeburskie, potwierdzone w 1509 r. przez Zygmunta I. Sejm lubelski w 1569 r. uczynił Włodzimierz stolicą powiatu i siedzibą starostwa. Odbywały się tu więc sejmiki, których miejscem był sobór prawosławny lub kościół dominikanów, ufundowany wraz z budynkiem klasztornym przez Aleksandra Jagiellończyka, dziś nieistniejący. Zygmunt August w 1570 r. raz jeszcze potwierdził Włodzimierzowi prawa miejskie, ustanawiając cechy, zapewniając swobodę handlu i zezwalając na dwa dwutygodniowe jarmarki roczne. Poczynając od 1582 r. miasto miało 6 cechów: kuśnierski, krawiecki, piekarski, żeźnicki, szewski i kowalski. Wielkim wydarzeniem w życiu miasta było goszczenie Władysława IV, który w 1617 r., ciągnąc na wyprawę pod Moskwę, stanął tu obozem. W 1657 r. Włodzimierz został jeszcze raz zdobyty, spłądowany i częściowo spalony, tym razem przez Kozaków i Siedmiogrodzian. Po tym ciosie miasto już się nie podniosło, jak o tym świadczy lustracja, dokonana w 1788 r.: było tu wówczas zaledwie 117 domów chrześcijańskich i 85 żydowskich. O świetniejszej przeszłości świadczyła tylko istniejąca od dawna szkoła unickich bazylianów. August III dał jej przywilej wyłączości, tak że w tym samym mieście i w promieniu 5 mil nie mogła działać żadna inna szkoła. Przywilej ten uniemożliwił otwarcie kolegium jezuickiego. Ufundowany dla jezuitów i zbudowany w 1. połowie XVIII w. wg projektu P. Giżyckiego kościół pw. Rozesłania Apostołów oraz zabudowania klasztorne dostały się później bazylianom, a w 1840 r. cerkwi prawosławnej. W 1921 r. został odzyskany przez katolików i jako kościół parafialny służył do 1945 r. Kościół parafialny pw. św. Joachima i św. Anny, trójnawowy, został zbudowany w 1752 r. przez bpa Adama Woynę Orańskiego.

W latach 80. XVIII w. dwukrotnie zatrzymywał się we Włodzimierzu król Stanisław August, witany wówczas przez uczniów szkoły bazylińskiej oracjami, wygłoszonymi po polsku, łacinie, francusku, niemiecku, włosku i angielsku. Po III rozbiorze Polski, gdy Włodzimierz został włączony do Rosji, szkoła bazylińska przeszła w 1803 r. pod państwowy zarząd okręgu naukowego wileńskiego i pod bezpośredni nadzór Tadeusza Czackiego.

lacje do lub z Łucka dotyczyły wielu stolic na obszarze Korony, Litwy i Rusi, ale tak się złożyło, że ani razu Lwowa.

Specjalne wspomnienie należy się biskupowi Adolfowi Szelażkowi (1865–1950, w Łucku od 1925), wybitnemu pasterzowi Kościoła łuckiego i uczonemu, wygnańcowi od 1944 roku.

Książka K.R. Prokopa to kawał historii Polski, historii, do której bez wątpienia Wołyń należy, nie tylko zresztą w domenie kościelnej.

* m.in. Szyszkowski, Maciejowski, Prażmowski, Lipski, Załuski, Szelażek.

📖 Pani **Karolina Lanckorońska** spisała dość dawno swoje ***Wspomnienia wojenne***, teraz dopiero wydane („Znak”, Kraków 2001). Dotyczą one całego okresu II wojny – od wkroczenia armii sowieckiej do Lwowa 22 września 1939 r. do zwolnienia Autorki z Ravensbruck 5 kwietnia 1945 r. Między tymi datami zawiera się niezwykła historia patriotycznej aktywności na kilku torach, przede wszystkim organizacyjno-niepodległościowym i charytatywno-opiekuńczym, bo wcześniejsza działalność na niwie naukowej i kulturalnej musiała dość szybko ustąpić miejsca tamtym, choć nie zamarała nawet w tej wojennej i okupacyjnej rzeczywistości.

Obok podstawowej warstwy narracji, która dotyczy także tła – sytuacji w skali europejskiej – pojawia się kapitalny materiał anegdotyczny, jak choćby o ankiecie, jaką sowieckie władze uniwersyteckie przedłożyły pracownikom naukowym:

[...] Otrzymaliśmy formularze do wypełnienia, coś w rodzaju *curriculum vitae*. Dwie rubryki były w tym naprawdę ważne: pochodzenie społeczne oraz ilość zrobionych wynalazków. To ostatnie trochę nas zdziwiło. Staralam się wytłumaczyć sekretarce Łewczenki, że humanista, a szczególnie historyk, nie uważa, aby celem jego badań naukowych był właśnie wynalazek. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i powiedziała tonem pobłażliwym: „No, to trudno towarzyszo, jeśliście ani jednego wynalazku nie zrobiła, to trzeba to napisać”. [...]

Pani Karla (jak ją bliscy nazywali) pozostała we Lwowie do maja 1940, potem uda-



ła jej się przedostać do GG. Oto jej spostrzeżenia:

[...] 8 maja rano – Kraków. Miasto nie zniszczone, słońce i ruch. Na ulicach dużo Niemców, na lepszych sklepach i restauracjach napis: *Nur für Deutsche*. Pomimo to zewnętrzny tryb życia wydawał się stokroć normalniejszy niż we Lwowie, zewnętrzny aspekt o wiele mniej zmieniony. Większość znajomych wówczas jeszcze mieszkała we własnych mieszkaniach, zapraszali na śniadanie, skromne nieraz, ale zawsze podawane na normalnej porcelanie, ze srebrnymi łyżkami i widelcami. Dziwiło nas to po tragicznie sprzedanym Lwowie i dopiero teraz zrozumieliśmy doniosłość zarządzenia sowieckiego o unieważnieniu złotego. Zabór niemiecki tej katastrofy ekonomicznej nie przeszedł. Nie przeżył też przede wszystkim azjatycki całego życia oraz nie odzwyczaił się od pewnych zewnętrznych form europejskich. [...] Ale w pierwszych dniach ta zewnętrzna kontynuacja dawnych form życia wprost nas raziła i bolała. Wszystkie myśli były skoncentrowane na Lwowie. Kogo znowu wywieźli? Te straszne pytania powtarzaliśmy sobie ciągle nawzajem i zadawaliśmy je co rano znajomym i nieznajomym, do których wychodziliśmy na dworzec, gdy przyjeżdżał pociąg z Przemyśla. [...]


W Krakowie podjęła pracę w RGO (Rada Główna Opiekuńcza), a po zajęciu Małopolski Wschodniej przez Niemców (*Distrikt Galizien*) działała przez jakiś czas w Stanisławowie, gdzie parokrotnie zetnęła się z Krügerem, winnym wymordowania tamtejszej polskiej inteligencji.

Po aresztowaniu w Stanisławowie przebywała w więzieniu „na Łąckiego” we Lwowie, była tam jednak ochraniała na skutek interwencji włoskiej rodziny królewskiej. Złożyła wtedy zeznania obciążające Krügera.

Palac Karoliny Lanckorońskiej w Chłopach k. Kołomyż. Stan sprządy II wojny (dziś zrujnowany)

Ze Lwowa przeniesiono ją do Berlina, potem do obozu w Ravensbrück, skąd wyostała się z końcem wojny dzięki wysokim koneksjom. W latach 60. zeznawała jeszcze na procesie Krügera w sprawie staniśławowskiej. Przedstawiła tam także mord profesorów lwowskich w 1941 r.

Do Polski nie wróciła. Osiedła w Rzymie, gdzie dotąd mieszka. Ma 103 lata.


 **Elżbieta Kotarska** jest córką jednego z czternastu AK-owców sądzonych i zamordowanych przez NKWD we Lwowie w lutym 1941 r. Była wtedy dzieckiem, a gdy po latach zapoznała się z literaturą, którą uznała za niezbyt wiarygodną, sama rozpoczęła wieloletnie żmudne badania w archiwach polskich, angielskich i amerykańskich, a przede wszystkim we Lwowie, jak również rozmowy z żyjącymi członkami rodzin ofiar. Owocem tych poszukiwań jest książka **Proces Czternastu** (Oficyna Wydawnicza „Volumen”, Warszawa 1998).

Autorka pisze na wstępie: *Kanwą tej książki jest proces polskich oficerów-konspiratorów sądzonych przez sowiecki wymiar sprawiedliwości. Akta sprawy pokazują precyzyjnie mechanizmy stalinowskiego systemu represji; dramat oskarżonych, których postawa, obrona swoich racji, są zupełnie niezrozumiałe dla enkawudowskich śledczych i sędziów. Podstawowym nakazem NKWD było totalne zniewolenie, pohańbienie więźnia, wymuszenie zeznań.*

Książka Kotarskiej ma dwie warstwy: historyczną – wynikającą z badań dokumentów i relacji świadków, oraz współczesną: autorka wędruje po dzisiejszym Lwowie i konfrontuje swoje wiadomości z miejscami tamtych wydarzeń. Pokazuje liczne zdjęcia ulic i domów, a także zachowane prywatne zdjęcia bohaterów i ich rodzin.

Książka E. Kotarskiej jest rzetelnym i znakomicie opracowanym dokumentem dramatu – jednego z niezliczonych dramatów, jakie rozegrały się we Lwowie i na całych Ziemiach Wschodnich w czasie II wojny.

Książka dostępna w księgarniach naukowych.

 Krakowskie Wydawnictwo Baran i Suszczyński przypomniało zapomnianego i w czasach PRL-u przemilczanego lwowskiego pisarza, poety i dramaturga (a zara-

Zabytki. Pozostałości wałów ziemnych nieistniejącego zamku z X–XIV w., założonego na miejscu dawnego grodziska.

Kościół parafialny z 1752 r. został zamknięty przez władze sowieckie w 1945 r. i był używany jako sala koncertowa i kawiarnia, dzwonnicę rozebrano. Kościół jezuicki został zdewastowany za czasów sowieckich. Na cmentarzu katolickim znajdują się ruiny kaplicy.

Sobór prawosławny (Uspieński) z XII w., przebudowany w poł. XVIII w. przez bazylianów unickich, od XIX w. ponownie prawosławny. Dwie cerkwie (z XIII–XIV w. i z XVIII w.).

Czasy obecne. Kościół parafialny został odzyskany dla kultu w 1992 r. Kościół pojezuicki należy ponownie do Cerkwi prawosławnej.

ZDOŁBUNÓW

Położenie. Miasto powiatowe w woj. wołyńskim, położone nad rzeczką Uście, dopływem Horynia. Węzeł kolejowy (ważny przed I wojną), łączący linie ze Lwową i Lubliną ku Ukrainie (Szepetówce). W latach międzywojennych liczyło ok. 8 tys. mieszkańców, a przed I wojną 10 tysięcy.

Historia. Pierwsza wiadomość o Zdobunowie (pierwotnie Dołbunowie) pochodzi z 1570 r. Była to wówczas wieś, stanowiąca własność Myszka Szczasko. W 1585 r. właścicielem był już ks. Konstanty Ostrogski. Po blisko dwóch wiekach, w 1757 r., przeszedł Zdobunów do ks. Stanisława Lubomirskiego, podstolego koronnego. Pod koniec XIX w. znajdował się nadal w rękach tej rodziny, w 1895 r. był własnością Katarzyny Lubomirskiej.

W 1870 r. zbudowano tędy linię kolei kijowsko-brzeskiej, na której Zdobunów stał się ważną stacją węzłową i osadą kolejowo-przemysłową, przemieniając się w 1903 r. z wsi w miasteczko. Istniała tutaj cegielnia, cementownia (oparta na pobliskich kamieniołomach kredy) oraz wielkie koszary wojskowe. W 1924 r. przeniesiono tu z Ostroga stolicę powiatu.

Kościół parafialny pw. św.św. Piotra i Pawła (murowany) został wzniesiony w latach 1928–38 z ofiar wiernych i ks. Józefa Izbińskiego. W 1960 r. został zamknięty przez władze sowieckie.

Czasy obecne. Kościół został zwrócony do kultu w 1992 r. i odremontowany. Proboszczem był najpierw ks. Witold J. Kowalów, a obecnie ks. Andrzej Ścisłowicz, który organizuje tam życie religijne i kulturalne.

Hasła opracowali dr Maria Taszycka, Danuta Tryliska-Siekańska i Andrzej Chilpański.

zem filologa klasycznego i profesora w gimnazjum im. Królowej Jadwigi), **Edwina Jędrkiewicza**, wydając dwa tomy jego prozy pt. ***Daimonion ti i Archaniol z toporem u wrót raju*** (Kraków 2001).

Tom pierwszy (I wydanie w 1968 r.) wprowadza w środowisko lwowskiej inteligencji, relacjonując wydarzenia na tle niespodziewanego wkroczenia wojsk niemieckich na tereny Polski. Drugi zaś (edycja pośmiertna, a w sumie miała być trylogia) przedstawia bohaterów w walce o przetrwanie w okrutnej rzeczywistości, w nieustannym strachu wobec obu totalitarnych reżimów. Znając bliżej sylwetkę pisarza, można dopatrzeć się od razu wątków autobiograficznych.

Bohaterowie utworu – nauczyciele gimnazjum i aktorzy teatru lwowskiego – zmagają się codziennie ze zmieniającymi się systemami, z niesprawiedliwością i nieuczciwością karierowiczów, borykają się z problemami, które nadchodzą nieoczekiwanie z różnych stron. Główny bohater, Juliusz Liszyński, nauczyciel historii w gimnazjum, filozof i *przyjaciel prawdy*, jak mówią o nim znajomi – bohaterowie-obszernicy i komentatorzy historii – wśród ogromnego bałaganu i zamieszania próbuje wszystkie te wydarzenia zinterpretować na swój użytek, doszukać się istoty, wyjaśnić je w obliczu historii. Pomimo krzywd, jakich doznał on i jego rodzina, nie rezygnuje z życia, śmiało stawia czoło przeciwnościom losu, do końca pozostaje optymistą: *i jeżeli przeżyję wojnę, to z jakąż namiętą pasją będę szukał, śledził, dowiadywał się, co się tam naprawdę działo w 1941 roku na świecie – wtedy już będzie można i wolno doszukiwać się prawdy o tym*. Przez całe swe życie nosi w sobie głos *daimoniona*.

Przedstawione postacie stają się zarazem aktorami (czytaj: *ofiarami*, jak napisał autor przedmowy) historycznych wydarzeń na scenie, w sztuce nienawistnej ideologii. Z tym że jedni próbują skorzystać z nadarzającej się okazji i dopasować do sytuacji, szybko awansować i wspinać się na wyższy poziom społeczny, drudzy – przeciwnie, giną w wywózkach, poddając się i godząc ze swym losem.

Bardzo żywo, a jak przerażająco, pisarz unosi przed nami kurtynę nocnych najazdów i wywózek rodzin wpisanych na listę wygnania, okrutnej


dyscypliny pracy, niszczącej niezłomnego ducha i odporne ciało. W takiej sytuacji znalazła się kolejna pozytywna bohaterka – Hanka – wzór dziewczyny uczciwej i nieprzekupnej, która w najcięższych warunkach fizycznych potrafi przeciwstawić się kuszącym propozycjom ułatwienia sobie życia i pracy rzekomemu rosyjskiemu hrabiczowi *z jakiegoś odwiecznego, a nie dorżniętego do końca arystokratycznego rodu*.

Autor nie omieszczał przedstawić też drugiej strony historii, zabarwionej gorzkim humorem – historii o karierowiczostwie i głupocie ludzkiej, o ludziach sprzedających, zmieniających swoim rodakom życie w piekło. Przeciwnością Hanka jest jej rywalka w miłości, niezbyt mądra i naiwna, wierząca nawet w wiadomości o nalocie UFO na Amerykę. Teraz, po latach, możemy się śmiać i współczuć. Ale czy jest sens i czy mamy prawo sądzić ludzi według uczynków, jakich dopuścili się w nieludzkich warunkach?

Proza ta stanowi więc kolejną stronę, która uzupełnia i wzbogaca naszą wiedzę o historii tamtych lat, dopisuje kolejne rozdziały do utworów Solżenicyna, Szalamowa, Herlinga-Grudzińskiego, Borowskiego i innych autorów-ofiar. Po przeczytaniu tego dzieła nasuwają się pewne znane już wątki z innych prac, opisujących przerażające fakty nieludzkiego traktowania ludzi w tamtych latach. Bardzo trafnie i syntetycznie ujmując tę myśl Gustaw Herling-Grudziński w *Innym świecie*, dzieląc się swoim wstydem, kiedy myślał o Europie przedzielonej na pół Bugiem, w której po jednej stronie miliony niewolników sowieckich modliły się o wyzwolenie przez armię hitlerowską, a po drugiej stronie miliony niedopalonych ofiar niemieckich obozów pokładały ostatnią nadzieję w Armii Czerwonej. Ten też wątek przewija się tu, we Lwowie, w latach 1939–41, gdzie bohaterowie w przygnębiającej dezinformacji wyczekują ratunku we wrogach, przynoszących równe spustoszenia i okrucieństwa wobec ludzi. *Jedna cholera poszła, druga przyszła* – czytamy na stronach książki.

Wiele już minęło od tego czasu, żyjemy w pokoju i niepodległości. Ale *daimonion ti*, owa wyrocznia, która kieruje postępowaniem człowieka i której niczym nie można zdławić czy zniszczyć, przetrwała przez pokolenia, by zachować się w naszej świadomości i historii, dla ciągłego przypomnienia o tych strasznych wydarzeniach, o bo-

haterach tamtego czasu, o ich nadziei i wierze w dobrą przyszłość i wolną Polskę, by przedłużyć pamięć historyczną. (AKS)


 Ucieszył nas nowy kieszonkowy przewodnik pt. **Lwów i okolice** autorstwa **Jana Czerwińskiego** (Wydawnictwo Laumann-Polska, Piechowice 2001). Książeczka jest ładnie wydana na kredowym papierze, ma sporo zdjęć i planików, przede wszystkim jednak odpowiada naszym, polskim, wymaganiom. Dotyczy to zarówno wydarzeń historycznych, jak i opisów obiektów i miejsc. Żałujemy tylko, że przedstawiając pokrótce historię miasta, autor zaczął od założenia grodu przez księcia ruskiego Daniela. Dziś przecież już wiemy, że nie nastąpiło to w dziewiczym terenie (choć w okolicy słabo zaludnionej), a istniejącą tam osadę zamieszkiwali Słowianie zachodni, zapewne potomkowie Lędzian, przynależni do obszaru państwa piastowskiego. Oderwanie tych ziem od ówczesnej Polski nastąpiło w 981 r. i trwało przez trzy i pół wieku.

Kolejne 430 lat to powrót do Polski i kręgu zachodniej Europy, a dzięki korzystnemu położeniu – rozkwit gospodarczy i kulturalny. Ale zarazem służba w obronie całej Polski przed najazdami ze wschodu i południowego wschodu. Po klęsce całej Polski oraz 90 latach austriackiej okupacji i ucisku narodowego Lwów staje się z powrotem, na ponad pół wieku, polską stolicą polskiego kraju, choć w ramach niepolskiego imperium. Po kolejnym dwudziestolecu wolności i powracającej *prosperity* Lwów dostaje się *pod wóz* na kilka następnych dziesięcioleci.

Podoba się nam, że autor prowadzi wiedzącego w rejon ul. 3 Maja i objaśnia stojące tam budowle. Ulica ta wraz z kilkoma ją otaczającymi to lwowskie *city*, jakiego nie miała Warszawa, a tym bardziej Kraków. Dziwi nas, że oprowadzający turystów lwowscy przewodnicy (skądinąd świetni) dotąd tego nie pojęli. W kwestii miejscowości okolicznych: zabrakło nam Złoczowa i Drohobycza (a jest pobliski Truskawiec). Skoro proponuje się wyjazd aż do gór, to proponowalibyśmy jeszcze Rafajłową ze szlakiem II Brygady.

Bardzo polecamy przewodnik J. Czerwińskiego wszystkim wybierającym się do Lwowa, nawet tym, którzy będą tam opro-

wadzani. Warto zachować wiadomości o Lwowie i najważniejszych miejscowościach regionu – w *pigułce*.

 Nowy i bardzo na czasie wydany tomik polskiej poezji zza wschodniej granicy czytamy ze wzruszeniem. Tytuł brzmi **Habemus Papam. Antologia polskiej poezji religijnej**, choć nie ma w nim dosłownych odniesień do Ojca Świętego i Jego historycznej pielgrzymki w tamte strony. Wiersze wybrała – jak i do poprzedniego tomiku (*Gdzie jesteś Ojczyzno*, patrz CL 1/97) – **Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz** (wyd. „Kamieniar”, Lwów 2001), prezentując 37 twórców różnego wieku (niektórzy już nie żyją), miejsca zamieszkania i poziomu. Większość twórców to lwowianie (ściślej: lwowianki, bo panie są w przewadze), a kilkoro z nich mieszka dziś na stałe lub czasowo (na studiach) w RP. Są osoby żyjące na Wołyniu, w Czerniowcach, na Ukrainie, a nawet w Toronto.

Tomik otwierają i zamykają (co wynika z alfabetu) pierwsze dziś damy poezji polskiej we Lwowie – Krystyna Angielska i Barbara Zajdel, pośrodku Jadwiga Jamrozówna i Natalia Otko. Jest niezapomniana Mieczysława Piotrowska oraz młodziutkie Irena Nuckowska, Marta Tajner. Pełne poezji modlitwy napisała Weronika Piekarowska. Wszystkie wiersze zawarte w tomiku wykazują wysoki poziom – jeśli nawet nie formy, to na pewno intelektualnego zamyślenia i refleksji, autentycznego rozmodlenia.

Ładne rysunki wykonali Walentyna Giłała (także okładkę) oraz Mieczysław Małowski.

Na koniec pełen uroku, jeszcze dziecinnie spontaniczny, wierszyk młodziutkiej, 14-letniej dziś Wiktorii Słobodiany:

MOJA I KOMUNIA ŚWIĘTA
*Tak szybko mijają tygodnie,
Tak szybko mijają dni,
A przecież tak mało zostało
Do Komunii mi.
Włożę biały wianuszek,
Na nogi białe trzewiczki,
A na ręce ubiorę
Białutkie jak śnieg rękawiczki.
Ubiorę piękną sukienkę,
Torebeczkę wezmę dziś,
A w łóżku pozostanie
Mój duży, biały miś.*

*I wejdę do kościoła
I będę taka radosna,
Bo ta Komunia Święta
Jest piękna, jak nasza wiosna.*

Anna Kostecka-Sadowy (AKS), Jan Lipiński, Stanisław Sochaniewicz (SS), Konrad Sura (KS), Danuta Trylska-Siekańska (DTS).

Jest co czytać (24)

PAMIĘĆ NARODOWA

Od lutego 2001 r. ukazuje się „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”. Kolejne comiesięczne edycje informują czytelnika skrupulatnie, choć w telegraficznym skrócie, o pracach IPN-u podejmowanych na terenie całego kraju. Pobieżne choćby przejrzanie kolejnych numerów uświadamia, jak szeroka problematyką zajmuje się IPN oraz jak poważne, interesujące i ogromne zadanie stoi przed pracownikami tej instytucji. Odtajniając kolejne partie dokumentów, wypełniają *białe plamy* naszej współczesnej historii, dając tym samym materiał badawczy do pisania syntez historycznych drugiej połowy XX wieku od początku.

Lekturę „Biuletynów” zachęcam rozpocząć od numeru drugiego, w którym wydawca przedstawia podstawowe definicje i interpretacje prawne takich haseł, jak: *prześięstwa przeciw ludzkości, zbrodnie komunistyczne, przedawnienie*. Są to pojęcia, z jakimi czytelnik spotykać się będzie niemal na każdej stronie „Biuletynu”, a ich przyswojenie i zrozumienie stanowić będzie swoisty klucz do prezentowanych przez autorów zagadnień.

Wspomniany już numer drugi niemal w całości poświęcony jest prześladowaniom działaczy związanych z PSL Stanisława Mikołajczyka, jakie miały miejsce na terenie całego kraju po II wojnie. Zaprezentowano również unikalne zdjęcia (swoisty fotoreportaż) z aresztowania Michała Krupy – ostatniego żołnierza z oddziału „Wołyniaka”.

Szczegółnej uwadze czytelnika warto polecić wywiady, jakie na łamach każdego numeru znajdziemy. W numerze 2. Barbara Polak rozmawia z prof. Witoldem Kule-

szą, dyrektorem Głównej Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu. Profesor omawia ciekawe zagadnienie zbrodni sądowej, które usiłuje, bezskutecznie dotąd, wprowadzić do polskiej jurysdykcji. Stwierdza, że *do tej pory nie został sporządzony akt oskarżenia żadnego z żyjących sędziów, sprawców zbrodni sądowej*. W rozmowie wspomina również trudności, na jakie napotyka IPN we współpracy z organami ścigania i wymiaru sprawiedliwości Rosji i Ukrainy. *Federacja Rosyjska została zaliczona do krajów, które realizują model oparty na gwarancji pełnej nieodpowiedzialności sprawców za zbrodnie popełnione przez totalitarny system komunistyczny* – mówi prof. Kulesza. *Jeszcze gorsze doświadczenia mieliśmy z prokuraturą Ukrainy. Chodziło o sprawę zbrodni w Złoczowie [...] Stwierdzono [...], że nastąpiło to na rozkaz najwyższych władz ZSRR, co sprawia, że nie jest to zbrodnia wojenna ani zbrodnia przeciw ludzkości i dlatego nie może być przedmiotem śledztwa, gdyż uległa przedawnieniu. Prokuratura Ukrainy nie udzieli nam pomocy prawnej, nie wskaże sprawców i nie dostarczy nam innych dokumentów, o które wnioskowaliśmy. Tu urywa się jakikolwiek dialog prawniczy. Jeszcze gorzej wyglądają kontakty z Białorusią, bo Białoruś odmawia nawet potwierdzenia, że otrzymuje naszą dokumentację. Co nie oznacza, że śledztwa dotyczące zbrodni na Kresach nie będą prowadzone przez IPN.*

W numerze piątym – czerwcowym – znajdziemy informację na temat rozpoczęcia cyklu konferencji naukowych pt. *Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1939–1989*. Koordynacją tej tematyki zajmuje się Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej w Lublinie, które w maju zorganizowało konferencję pn. *Antypolska akcja OUN-UPA 1943–1944*. Na konferencji przedstawiono przebieg akcji na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, podczas której śmierć poniosło *prawdopodobnie 80–100 tys. Polaków*. Omawiane były również działania odwetowe polskiej partyzantki, w których zginęło 15–20 tys. Ukraińców, a także mówiono o stratach Kościoła polskiego i ukraińskiego (zginęło co najmniej 120 księży polskich i 50 duchownych ukraińskich). Kolejna sesja ma być poświęcona Akcji „Wisła” z 1947 r.

Janusz M. Paluch



Milion czterysta tysięcy przedstawicieli polskiej inteligencji zapłaciło życiem w latach hitlerowskiej i sowieckiej okupacji kraju. Na 35 milionów ludności pozostało zaledwie 350 tysięcy Polaków z wyższym i średnim wykształceniem. 6 listopada 1939 roku w południe w murach Uniwersytetu Jagiellońskiego rozpoczęła się wstrząsająca dla całego cywilizowanego świata Sonderaktion Krakau: 183 krakowskich profesorów wyprowadzono na męczeński szlak wiodący do Sachsenhausen i Dachau. Niewiele później, bo w lipcu 1941 r., czterdzieści kilka osób, w tym 25 wybitnych naukowców z zakresu medycyny, kierunków politechnicznych, prawa i literatury zginęło na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Miesiąc potem – 8 sierpnia 1941 roku – dokonała się jeszcze szerzej zakrojona akcja eksterminacji polskiej inteligencji Stanisławowa; mimo upływu wielu lat, starań i poszukiwań – wciąż nie wiemy dokładnie, ile było ofiar.

Przeżywaliliśmy te wydarzenia szczególnie boleśnie – dotyczyły bowiem nas osobiście – naszych ojców, matek, braci i siostr. I mimo iż mija od tamtych dni 60 lat – wciąż przeżywamy je na nowo, wciąż pamiętamy. I pamiętać będziemy do końca naszych dni.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS
oraz III tomik Biblioteczki CL pt. „TAJEMNICA CZARNEGO LASU”
zostały wydane przy pomocy finansowej
Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

Na I stronie okładki: Arsenał Królewski we Lwowie. Rysunek Zbigniewa Haicha

Czasopismo Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czalczyńska, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska, Jacek Walczewski

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413-35-00, 294-15-28, e-mail: fall@inetia.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Spis treści

		Andrzej Rybicki PRZYPADKI KSIĘDZA JAKUBA	24
Słowo od Redakcji PRZEPRASZAMY, ŻE ŻYJEMY	1	Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z JANUSZEM SMAZĄ	27
Barbara Czałczyńska FELIETON O NASZYM KOŃCU WOJNY	1	Wiersze Bp Władysław Bandurski POLEGŁYCH ZE W OBROŃCOM LWOWA 1918	32
KRÓLOWA POLSKI	2	Proza Janusz Majewski W CZASIE WOJNY WE LWOWIE	33
Leon Łyszczarczyk DZIENNIK OBROŃCY LWOWA	3	Sylwetki Janina Maria Iskrzycka HARCERKI PORTRET WŁASNY	39
Naszym zdaniem Karol Odrycki PRZEMĄDRZALI	5	Z tamtej strony WYDARZENIA	40
Fotoreportaż SZLAKIEM II BRYGADY LEGIONÓW	6	Polacy z Polakami DO ZAPAMIĘTANIA	41
Leopold Kapuściński POCZĄTEK WOJNY W ZBOISKACH	8	Słownik geograficzno- -historyczny KORZEC ♦ KOWEL ♦ LUBOML ♦ OŁYKA ♦ WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI ♦ ZDOŁBUNÓW	41
Sześćdziesiąta rocznica Mateusz Szpytma PAMIĘĆ JEST NASZYM OBOWIĄZKIEM	10	W Krakowie i dalej ROPWiM W NOWYM SKŁADZIE	43
Marta i Jacek Walczewscy ZBRODNIA W CZARNYM LESIE	12	Barbara Barta KSIĄŻĘ KARDYNAŁ I JEGO RÓD	44
Andrzej Przewoźnik PRZEMÓWIENIE	13	Kazimierz Selda II ZJAZD POLONII I POLAKÓW Z ZAGRANICY	44
Kryszyna Stafińska PRZEMÓWIENIE	13	Stanisława Vallis-Schyley BRODY NAD WISŁĄ	45
Maria Konopnicka W KAMIENIU POLNYM	14	NOTATKI	46
Jerzy Wasidłowski W CZARNYM LESIE	14	Kultura ♦ Nauka KRONIKA	48
MODLITWA WIERNYCH	15	Książki ♦ Czasopisma Anna Kostecka-Sadowy, Jan Lipiński Konrad Sura, Stanisław Sochaniewicz Danuta Trylska-Siekańska	48
Danuta Trylska-Siekańska ZBRODNIA POD GÓRĄ KRZYŻOWĄ	16	NOWE KSIĄŻKI	48
Feliks Budzisz PRZYJACIELE Z WOŁYNIA	17	Janusz Paluch PAMIĘĆ NARODOWA	60
Zofia Lewartowska POLSKIEGO PRZESIEDLENIA – HISTORIA NIEZNANA	20		
Archiwum SOWIETYZACJA NASZYCH ZIEM WSCHODNICH	23		